MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 9. WARSZAWA, 15 LUTEGO 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

RACHUNEK GENEWSKI

O PRZEBIEGU ostatniego posiedzenia Rady Ligi Narodów, a zwłaszcza o tem, jak potraktowano skargi niemieckie w sprawie nadużyć wyborczych na Górnym Śląsku, opinja polska dowiedziała się tak mało, że naprawdę trudno było zorjentować się, co się właściwie stało: czy odnieśliśmy tam sukces polityczny, utrwalając opinję swej rządności i pracy, czy też, przeciwnie, daliśmy naszym wrogom nowe argumenty do oskarżenia nas o to, że jesteśmy czynnikiem niepokoju w Europie, że nie potrafimy rządzić swem państwem i że spokój świata wymaga jakiegoś zrewidowania naszych granic?

Nadużycia wyborcze, znane dziś całej opinji polskiej—a niestety także i obcej,—dotknęły również Śląsk Górny i częściowo niemiecką mniejszość tej dzielnicy.

Nadużycia te wyzyskać postanowiła w swej kampanji antypolskiej prasa i rząd niemiecki. Opierając się na znanych opinji polskiej faktach, podniesiono raz jeszcze hasło rewizji granic jako „niemożliwych" i narażających mniejszość niemiecką na bezprawia i poniwierkę.

Jak wiadomo Polska w Traktacie tak zwanym „małym", dotyczącym praw mniejszości, podpisała zobowiązanie, ujęte w 19 paragrafów a oparte, jak powiada „*préambule*" na pragnieniu Polski „przystosowania swego urządzenia do zasad wolności i sprawiedliwości oraz dania niezawodnej rękojmi wszystkim mieszkańcom terytorjów, nad któremi objęła zwierzchnictwo".

Traktat ten orzeka w art. I, że zobowiązania Polski z tego tytułu „będą uznane za prawa zasadnicze Polski, zaś art. 2 stanowi, iż Rząd Polski zapewnia wszystkim mniejszościom prawo zupełnej i całkowitej ochrony życia i wolności".

Konwencja Genewska w sprawie Górnego Śląska, zawarta w Genewie 15 maja 1922 roku, zapewnia w art. 75 mniejszości niemieckiej po stronie polskiej i mniejszości polskiej po stronie niemieckiej równość w obliczu ustaw, bezstronną wykładnię przepisów i prawo do traktowania równego z innymi przez urzędy i urzędników, — zaś art. 83 tejże Konwencji przyznaje mniejszości prawo do ochrony życia i wolności.

Nadto art. 147 ustala, że instancją, kompetentną do stanowienia o sprawach spornych, wynikających z wykonania tej Konwencji, jest Rada Ligi Narodów.

Na tej podstawie Rząd Rzeszy skierował do Rady trzy noty, wymieniające wypadki przekroczenia wspomnianych artykułów, oraz stawiające żądanie uznania winy Rządu Polskiego, pomawianego o kierowanie terrorystyczną akcją antyniemiecką, żądanie sankcyj za wykroczenia i przeprowadzenia badań przez specjalny organ międzynarodowy.

Nieco później wpłynęła skarga od urzędowej reprezentacji mniejszości niemieckiej w Polsce

t. zw. *Deutscher Volksbund*. Żądania jego są bardziej umiarkowane.

W tych warunkach rozpoczęta została w Genewie dyskusja śląska, prowadzona poza urzędowemi posiedzeniami Rady i dopiero po uzgodnieniu najbardziej spornych punktów wprowadzona w dniu 21 stycznia na posiedzenie Rady.

Zaraz po przybyciu do Genewy, min. Curtius miał sposobność zorjentować się, że ogólna sytuacja polityczna a zwłaszcza zbliżenie francusko-angielskie nie dają widoków powodzenia dla szerzej zakrojonej akcji politycznej przeciwko Polsce. Wprawdzie wspomniał on dwukrotnie w formie ogólnikowej o dążeniach niemieckich do zmiany granic z Polską, lecz zapewnił przytem, że dążenia te nie uchybiają niczem pokojowym planom Niemiec i nie grożą pokojowi Europy.

Zaznaczyć tu jednak wypada, że po raz pierwszy otwarte i urzędowe zakwestjonowanie granic polskich nie znalazło ze strony niczyjej należytego odparcia, a p. min. Zaleski poprzestał na bardzo krótkiem i niedorastającem do sytuacji twierdzeniu, że sprawa granic podlegać nie może dyskusji.

Jest to tedy pierwsza porażka naszej kampanji genewskiej i trudno się dziwić radości „*D. Allg. Zeitung*", które kładzie specjalny nacisk na tę okoliczność, że po raz pierwszy, bez należytego sprzeciwu, Niemcy miały sposobność postawić przed *forum* międzynarodowem tę sprawę.

W ostatecznem sformułowaniu swych żądań w sprawie Górnego Śląska, w swej drugiej mowie, po paru słowach o wojewodzie Grażyńskim, którego nazywa „złym duchem" Górnego Śląska i o marszałku Piłsudskim, który — jak twierdził — miał nazwać Śląsk Górny starą kolonją niemiecką, min. Curtius sformułował swe stanowisko jak następuje:

— Przyjmuje on do wiadomości przyznanie się Rządu Polskiego do naruszenia art. 75 i 83, konstatuje, że zarówno urzędnicy, jak i inni sprawcy pociągnięci zostali do odpowiedzialności, że Rząd Polski wymierzy sprawiedliwość i zapewni odszkodowania.

Wzywa Radę, „ażeby baczyła na realne wykonanie tych sankcyj i odszkodowań", oraz ażeby poczyniła wszystko możliwe na przyszłość dla zapobieżenia podobnym wypadkom.

Min. Zaleski usiłował osłabić wrażenie przedstawionych przez stronę niemiecką danych. Nie negując, iż naruszenia miały miejsce, usiłował on przedstawić je jako zwykłe „zajścia wyborcze", które „nie posiadały ani tego napięcia ani zakresu, jaki się im usiłuje przypisać".

Skargi na działalność Związku Powstańców uznał p. min. za przesadne. Związek poczuł się dotknięty oskarżeniami *Volksbund*'u i wytoczył sprawę o zniesławienie.

Biorąc za podstawę memorjał *Volksbund*'u, przyznaje on, że nadużycia istotnie miały miejsce, że jednak w 249 wypadkach władze polskie wszczęły dochodzenie, że już w 19 wypadkach sądy wydały wyroki, że 17 urzędników stawiono przed Komisją Dyscyplinarną, że z nich 9 otrzymało surowe upomnienie.

Przyznał przytem p. minister, że „wybory w Polsce miały charakter namiętny, jakiego przedtem nie było".

Twierdził, że Związek Powstańców nie zajmuje bynajmniej stanowiska uprzywilejowanego, bo rząd by tego nie ścierpiał.

Raport, zaproponowany Radzie przez delegata japońskiego p. Yoshizawa, przyjęty przez nią jednogłośnie, nie poprzestał tylko na stwierdzeniu uznanych przez obie strony faktów naruszenia Konwencji Genewskiej. Przyjmując do wiadomości kroki Rządu Polskiego i odsyłając sprawy czysto wyborcze do trybunałów polskich, zastrzegł on, że nie uważa sprawy za wyczerpaną, lecz że Rząd Polski będzie musiał przed sesją majową Rady złożyć jej szczegółowe sprawozdanie ze swych czynności w związku z tą sprawą, czyli poszedł w tym kierunku po linji żądań niemieckich.

Dalej podkreśla raport w formie kurtuazyjnej, lecz stanowczej, odpowiedzialność władz, szczególniej ze względu na to, że chodzi o prawa mniejszości. Podkreśla obowiązek władzy takiego zachowania się, ażeby nie ściągać na siebie podejrzenia o udział w walkach politycznych.

Wreszcie, przechodząc do działalności Związku Powstańców, Yoshizawa nie daje się przekonać, iż wymierzone przeciwko Związkowi oskarżenia są przesadne, lecz wyraźnie potępia jego działalność jako szkodliwą dla pokojowego współżycia narodowości na Górnym Śląsku.

Podkreśla dalej, że Rząd powinien zerwać z tym Związkiem wszelkie szczególniejsze węzły, — jeżeli takowe istnieją, — a wreszcie podkreśla z naciskiem konieczność przywrócenia zaufania mniejszości niemieckiej. W tych warunkach prasa europejska oceniła wynik posiedzenia Rady, jako niekorzystny dla Polski.

„*Corriere della Sera*" w nr. z dnia 25 stycznia pod tytułem „*Un Rapporto contra la Polonia*" pisze:

„Raport delegata japońskiego wypadł w istocie swej bardzo surowo dla Polski. O ile chodzi o odpowiedzialność pośrednią—a chodzi tu o odpowiedzialność Rządu—Rada przemówiła językiem daleko bardziej wyraźnym, niż ten, jakim się przemawia zwykle w Genewie.

Wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na opinję o sytuacji mniejszości w Polsce".

Zaś *„Observer“* z dnia 1-go lutego, z właściwym mu anglosaskim lakonizmem, tak ujął sytuację genewską:

„P. Curtius mógł powrócić do Berlina z całkiem nieoczekiwaną tam wiarą w zdrowie polityczne Europy. Rada działała mądrze i śmiało. Przyznała słuszność skargi niemieckiej i otworzyła Polakom oczy na powagę praw mniejszości“.

P. René Pinon w *„Revue des deux Mondes“* mówi to samo, acz w innej formie:

„Rząd niemiecki otrzymał zadośćuczynienie, do którego mógł rościć pretensje. Jednakowoż prawa udzielności Państwa Polskiego, zostały uszanowane“.

Istotnie: granica naszej udzielności została zachowana, lecz te wszystkie formy międzynarodowego pouczenia, wszystkie morały, jakie w tej sytuacji otrzymać można było, otrzymaliśmy i Rada, jak to słusznie zauważył *„Corriere della Sera“* przemówiła do nas językiem, jakiego zwykle nie używa.

Taki jest bilans krótki sesji styczniowej Rady Ligi Narodów. Taką cenę zapłaciliśmy za metody wyborcze, zastosowane do swoich i obcych w listopadzie roku 1930. A trzeba dodać, że jest to cena tymczasowa — ostateczny rozrachunek za sanacyjne metody wyborcze czeka nas w maju. Tymczasem w Londynie „komisja trzech" rozpatrzy skargi ukraińskie na „pacyfikację", a i sprawa brzeska lada chwila może wejść na porządek dzienny. Rachunek wówczas wypaść może jeszcze bardziej słono.

W tej sytuacji p. min. Zaleski zapewnia Komisję Spraw Zagranicznych Senatu, na posiedzeniu 4 Lutego, że „wybory w całej Polsce odbyły się w spokoju".

Wiadomość równie radosna, jak nieoczekiwana. Jeżeli pogląd ten udzieli się Radzie Ligi w maju b. r., czeka nas trjumf niezaprzeczony.

Co jednak stanie się, jeżeli Rada będzie bardziej sceptyczna?

O tem p. Zaleski nie mówi nam nic. Może powie nam coś o tem p. Beck, zwłaszcza, gdy sprawa brzeska dojdzie do Genewy?

STANISŁAW ZIELIŃSKI

W NASTROJU GROMNICZNYM

I

KIEDY mężczyzn wielu, zdemoralizowanych i zastraszonych, milczy i usuwa się, na plac występują kobiety. I tak w tygodniach ostatnich głos zabrały dwie z pomiędzy nich, dwie panie Dąbrowskie: Marja, znana literatka lewicowa i Zofja — prawicowa („pani profesorowa" z ostatniej polemiki „Dnia Polskiego". — Pewien uczony polski mawiał, że w oczach niektórych arystokratów, wychowanych zwłaszcza w Austrji i Niemczech, profesura i wogóle zajęcia intelektualne uchodzą za *„infamierendes Gewerbe"*).

Nas tu interesuje przedewszystkiem p. Marja Dąbrowska. Tak rzadko mamy sposobność chwalić „Wiadomości Literackie", iż nie trzeba pominąć znakomitego ich artykułu z 25-go z. m.: „Na ciężkiej drodze", pod którym każdy z nas—bez reszty niemal — podpisać się może.

„Nikomu nie idzie już o to“,—pisze tam mianowicie p. Dąbrowska, wielbicielka marszałka Piłsudskiego i zwolenniczka przewrotu majowego — „aby człowiek w Polsce wzamian za świadczenia na rzecz państwa miał nietylko techniczne wygody i przysposobienie wojskowe, ale też jaki taki spokój moralny, pewność jutra, możność pracy i swobodę ducha. Idzie jedynie o to, aby jak najsprawniej i bez wytchnienia funkcjonował jako kółko w obrotach maszyny państwowej“.

A dalej:

„Musi być zachowana miara w ograniczaniu praw jednostki i w posiłkowaniu się złem dla celów „cementowania państwa“. Sumienie społeczne musi wyczuwać, że zło jest w miarę możności zmniejszane i usuwane na rzecz szlachetniejszych, bardziej honorowych metod rządzenia i działania. Pojemność ludzka na dziejące się pokątnie zło, na ciemne kulisy życia zbiorowego jest ograniczona, a cierpliwa odporność wystawiona zbyt często i zbyt długo na próbę, nakoniec się urywa w nieprzewidzianem miejscu, na nieoczekiwanem, z ubocznych tylko względów bardziej strasznem, niż inne, wydarzeniu. I gdy spodem dumnych frazesów mocarstwowych idą (pomijając powszechne w całym świecie pogorszenie spraw gospodarczych) takie rzeczy, jak stosowanie z reguły tortur i znęcanie się w urzędach śledczych, upadek niezawisłości sądów, nadużycie ekspedycyj karnych w Małopolsce i wreszcie Brześć, gdy obywatel w Polsce może być nietylko pomału obierany ze swobód, ale może być nadto przez każdego uzbrojonego przedstawiciela władzy bezkarnie poniewierany, gdy t. zw. „opanowywanie terenu“, t.j. skłanianie ludzi oraz instytucyj społecznych na stronę rządu staje się w całym kraju środkiem niewybrednym, a w rękach propagatorów odrodzenia moralnego wysoce nieodpowiednim, — nic dziwnego, że sumienie zaczyna się niepokoić“.

I snuje dalej pani Dąbrowska światłe swoje uwagi na temat zastosowanej w ostatnich czasach przez „rozgrzeszające się ze wszystkiego, co mogłyby niewłaściwego uczynić" czynniki decydujące „metody odsądzania od czci i wiary ludzi, którzy odważyli się ujawnić i napiętnować krzyczącą nieprawość". Zajmuje się zagadnieniem, co więcej państwu szkodzi: to ujawnianie i piętnowanie „ducha zatrutego", „skorupy plugawej" i „czartowskiej kuźni" ze względu na dobro moralne narodu, czy też—przemilczanie trwożne wszystkiego tego— ze względu na rzekomą krytykę zagranicy. I kończy pani Dąbrowska wywody swoje jak następuje:

„Znalazły się dziesiątki, a może nawet setki ludzi, co, nigdy nie syci, żądali czegoś więcej. Zażądali i żądają wciąż, przy każdej sposobności, osłaniania swojemi zasługami wszystkiego cokolwiek uczynią. Stało się to już swojego rodzaju moralnym „immunitetem“. W ilużto instytucjach, w ilużto sprawach, podejmując walkę ze złem lub dążąc do naprawy stosunków, spotkasz ludzi, co ani na chwilę nie zdejmują ze siebie togi zasług. Co prawo do popełniania błędów, do tandetnej roboty i do niepodlegania krytyce legitymują temi dwoma słowami: Byłem w boju.

Musi to być odwieczna cecha polskiego charakteru. Bo już Słowacki w „Zawiszy Czarnym“ tak ją piętnuje:

W Polsce... rycerze w polu najpierw się popiszą
A potem w karczmach sobie... za to ciągną trunek
I pić mogą przez całe życie na rachunek
I gdy im w poprzek jacy przeciwnicy staną,
Mogą przez całe życie tą krwią niewylaną
Mogą przez całe życie pluć, mospanie, w twarze
I opinje tym swoje... rozgłaszać w pokoju
Na tem słowie oparci tylko: byłem w boju".

II

Nieprawdą jest, jakoby wybitni działacze katoliccy nie trudzili się i nie troskali rozwiązywaniem tychże samych, co inni, zagadnień moralnych. I tak X. dr. Szymański, profesor uniwersytetu lubelskiego, a prezes Związku inteligencji katolickiej, poświęcił rozważania swoje w ostatnim zeszycie „Prądu" sprawie brzeskiej.

Wytykając niektórym „protestantom" brzeskim rażące go ich niekonsekwencje [1]), mając szereg dalszych zastrzeżeń co do taktyki samego protestu, stwierdza, jednak uczony teolog, iż

„Nie ulega wątpliwości, że sprawy te są sprawą praworządności i moralności publicznej" [2]).

Katolicyzm, katolicyzm świadomy i szczery, zbrojny jest *„per essentiam"* — przeciwko wszelakim zakusom niepraworządności i gwałtu. Na gwałt i niepraworządność od wieków przepasał on lędźwie swoje:

„W pracach rozlicznych, — mówi o sobie św. Paweł Apostoł (II, Kor. 11.23—7) w ciemnicach obficiej, w raziech nad miarę, w śmierciach częstokroć.

Od żydów wziąłem po pięćkroć, po czterdzieści plag bez jednej.

Trzykroć byłem bit rózgami, razem był ukamienowan, trzykrociem się z okrętem rozbił, przez dzień i przez noc byłem w głębi morskiej.

W drogach częstokroć, w niebezpieczeństwach rzek, w niebezpieczeństwach rozbójników, w niebezpieczeństwach od rodziny, w niebezpieczeństwach od poganów, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustyni, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach między fałszywą bracią..."

[1]) Por. znany wiersz z drugiej części Fausta:
Sie streiten sich, so heissts um Freiheitsrechte
Genau besehn, sinds Knechte gegen Knechte.

[2]) Wymienia tu X. dr. Szymański w szczególności — naruszenie prawa np. przy aresztowaniu b. posłów i osadzeniu ich w więzieniu wojskowem, poniewieranie, bicie, głodzenie, odrzucenie wreszcie nagłości znanego wniosku w Sejmie.

III

Pani Dąbrowska mówi dużo o naszem sądownictwie i więziennictwie, przypomina pośrednio, że już w zamierzchłem stuleciu XVIII-tem istniał taki „warjat z mokrą głową", baron Secondat de Montesquieu, który się rozgłośnie, właśnie w imię wyższych celów państwowych, domagał ścisłego rozdziału i zupełnej niezależności trzech władz: wykonawczej, prawodawczej i sądowej.

A co do więziennictwa naszego, to czyż nie ideałem dla niego — skoro rządzą państwem ofiary więzień rosyjskich, szczycące się walką z antyhumanitaryzmem carskim — nie powinien być kompletny brak analogij z systemem rekluzyjnym typu mongolskiego, jak go np. opisuje Kraszewski w jednej ze swoich powieści [3]):

„Wiemy już, ile przez więzienia rosyjskie przejść może rocznie winnych i niewinnych — któż nie zna z opisów, ze wspomnień, z widzenia przynajmniej tej niewyrażonej okropności więzienia. Gdy potrzeba na potępienia moskiewskich rządów coś stanowczego przynieść, zdaje się, dosyćby było opisu jednego takiego więzienia, do którego każdy, co się dostał, przez to samo, że tam już był, jest winnym, skąd nikt nie wychodzi bez skazy podejrzenia, gdzie trzymają jednych, że coś zrobili, drugich, aby czegoś nie zrobili, gdzie sąd indaguje łajaniem, biciem, strachem, przekupstwem i podstępem, gdzie protokuły podpisują się, jak każą, gdzie niema żadnego prawa, coby mogło ocalić raz tu pochwyconego.

Dantejskie: *„Lasciate ogni speranza voi ch'entrate"* stoi wyryte na wrotach tych piekieł, w których ludzka złość, chciwość, fantazja królują naprzeciw wszelkim prawom rządzącym światem. W tych murach, z których się wychodzi na śmierć, wygnanie, w których się gnije zapomnianym, kona się zaduszonym wilgocią i tęsknotą, śmiech szyderski stróżów jest jedynem słowem pociechy.

I są ludzie przecie, co systemu, który tu panuje, bronią, którzy mu podają rękę, bo z nim idą i w imię jego osłaniają się mianem zachowawców porządku społecznego! Cóż mu grozi więcej, temu porządkowi [4])?"

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

[3]) „Dziecię Starego Miasta", Warszawa, „Bibjoteka Polska", str. 117 — 9.

[4]) Pośród dzisiejszych przywódców B.B. są ludzie, którzy — w zbyt liberalny zapewne sposób, ale szczerze — formułowali zapatrywania, będące dziś przedmiotem sporu. I tak, w roku 1919, pisał p. Hołówko w znanej swej broszurze „Ziemianie":

„Trzeba przyznać, że był... okres jasny w rządach szlachty-ziemiaństwa. Tym okresem był wiek XVI, gdy szlachta wywalczyła dla siebie szerokie wolności, gdy ograniczyła władzę królów, złamała przywileje magnaterji i biskupów, gdy wprowadziła ustrój konstytucyjny, gdy dopięła tego, że władza cała skupiła się w Sejmie, gdy w Polsce kwitła tolerancja i wolność, poszanowanie praw jednostki".

PRACA SZTUKI

ŹRÓDŁO sztuki nie leży w społecznych skłonnościach człowieka, jak to niektórzy uczeni mniemają, ale w naporze nadmiaru uczuciowości jego, mianowicie — wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń, co razem nazywamy duszą. Napór ten w sposób naturalny dąży do uzewnętrznienia się, a to bez współudziału jakichkolwiek świadomych czy bezwiednych celów i zamierzeń. Nietylko człowiek pierwotny w praczasach przedhistorycznych, ale i dzisiejszy tańczy i śpiewa żywo pod naporem wielkiej radości, a czyni to swobodniej i chętniej, gdy jest sam,—układa melodje posępne i przybiera pozy tragiczne pod brzemieniem cierpienia, a gniewne i bojowe, gdy postanawia wojnę z wrogami. W tej samej zależności zjawiają się w nim wyobrażenia wzrokowe tak silne, że domagają się uprzedmiotowień plastycznych. To są, na trzech najogólniejszych przykładach zobrazowane, naturalne wybuchy sił, które następnie tworzą sztukę. Odnajdujemy je już w świecie zwierzęcym. W tym również świecie tkwią pierwociny sztuki, później przez człowieka w samowystarczalną pracę rozwiniętej.

Wynika z tego, że sztukę tworzą ludzie, obdarzeni wyjątkowem bogactwem i napięciem sił, składających się na duszę (t. j. wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń). Takimi są istotnie, artyści. Każdy z nich w jakimś wyłącznym—mniejszym lub większym — zakresie ulega naporowi swoich wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń tak silnych, że dąży do pozbycia się ich nadmiaru przez uprzedmiotowienie ich w dziele sztuki. A czyni to bez względu na

obecność lub nieobecność jakichkolwiek uczuć, skłonności lub myśli społecznych. Stąd też niemal każdy człowiek przeżywa swój okres artystyczny, mianowicie w młodości, kiedy wyobraźnia jego i uczuciowość wybuchają burzą i naporem wiosny życiowej. Artysta tem od innych się różni, że jego wiosna trwa długo, czasem do końca żywota — złocona latem żniw i jesienią mądrości. Można z tego wnioskować, że i wiosenna jego wiosna—wymowna czy milcząca—była o wiele od innych wiosen bogatsza i głębsza.

Świadomość pracy społecznej, którą dzieło sztuki ma na świecie dokonać, może artyście towarzyszyć, lecz nigdy źródłem sztuki być nie może. Czasem bywa pobudką, czasem — regulatorem moralnym, jakoby—sumieniem obywatelskiem artysty, a nieraz (niestety) — próżnością i pychą. Ale tak czy owak odgrywa rolę uboczną, sama bowiem niczego w sztuce dokazać nie może. Nawet w najprostszej swojej postaci t. j. w chęci porozumienia się z innymi ludźmi, świadomość czynności społecznej w sztuce raczej mąci i osłabia wyrażenie duszy, a kiedy zjawia się po dokonanej pracy, powoduje uczucie czczości w razie uznania, zaś uczucie goryczy w razie nieuznania dzieła przez ludzi. Najtrafniej tę antynomję uczuciową rozstrzygał artysta — mnich średniowieczny, piszący i malujący „dla Boga", a także artyści ludu, którym sprawa społecznych spraw i zdarzeń dzieła sztuki jest tak dalece obca, że nawet istnienia jej nie podejrzewają. Największych prac społecznych dokonywają dzieła sztuki, które z konieczności wewnętrznej, same przez się i same dla siebie powstają.

Pod wpływem naporu duszy, z materjału wyduchowego, przez duszę dostarczonego, kierowana odpowiedniem wyszkoleniem praca artysty tworzy dzieło sztuki. Z kolei dzieło to z chwilą, gdy na świat wyruszy, rozpoczyna swoją pracę samodzielną — pracę społeczną. Na czem ta praca polega? Ma ona charakter wybitnie wychowawczy. Sztuka jest w swoim rodzaju pedagogiem, a hołduje wyłącznie kierunkom nauki poglądowej, doprowadzonej do takiej doskonałości, że nie posiada nawet formy nauczania, ale działa wręcz przykładowo, z całą bezpośredniością i suggestyjną mocą przeżyć osobistych, wyrażonych tylko dla ich wyrażenia. Siła wychowawcza zależy tu jedynie od siły samych uczuć, w dziele sztuki zawartych, i od potęgi ich wyrazu. Zależność tę należy jednak jeszcze uzupełnić jednym względem zewnętrznym, o którym zbyt często się zapomina, mianowicie odpowiednią glebą duchową samych odbiorców sztuki. Dzieło sztuki może być wspaniałe, lecz będzie nieme dla tych, którzy doń kulturą i naturą dusz swoich nie dorośli. Dzieło sztuki może być słabe i chybione—dla tych, którzy je przerastają, a silne i zupełne dla dusz pospolitych i ubogich. Niewspółmierności pomiędzy dziełem sztuki a jego odbiorcą mogą być liczne i różnego rodzaju. Ale jedno jest pewne, że o ile sztuka działa, to działa wychowawczo, bowiem budzi w odbiorcy te cechy, któremi sama jest naładowana.

Rzecz zrozumiała, że wychowawcza działalność sztuki, (pomijając tu jej wartości poszczególne), może być dobra, albo zła. Jest to podział czysto moralny, ale nie należy go brać w znaczeniu wąskiem, społeczno-prawnem. Trzeba w sprawach sztuki podziałowi temu udzielić obszaru, na którym sama sztuka działa, a obszar ten znacznie przewyższa normalnie obowiązującą moralność życia zbiorowego. Z drugiej strony atoli, nie można w ocenie sztuki odgradzać się całkowicie od zagadnień dobra i zła, jak to wygodnie, biernie i... tchórzliwie czynią współcześni, a raczej — dbający o swoją współczesność snobliwi krytycy polscy ze złotego środka literackiego. Moralna wartość wychowawczego działania sztuki dotyczy wielkości lub małości człowieka i życia, jego bogactwa duchowego lub ubóstwa, siły lub słabości, górności lub poziomości — i tym podobnych wartości, do których, jak wiadomo, nie wtrąca się obiegowa moralność społeczno - prawna. Więc, naprzykład, tchórzów w życiu cywilnem nie ściga miecz prawa, szczędzi tchórzostwo ich (niestety) nawet miotła opinji, nie mniej jednak tchórzostwo jest rzeczą złą i niemoralną. To samo stosuje się do mnóstwa, wielkiego mnóstwa cech duszy i charakteru. Są one obojętne dla prawa, nie nazbyt zaprząta się niemi moralność pospólna, ale istnieje wielki obszar życia, dla którego cechy te nie są obojętne. Na tym właśnie obszarze działa sztuka, i dlatego werdzennym (immanentnym) współczynnikiem jej w tem działaniu jest moralność w jej pojęciu najszerszem — i, śmiem tak ją ocenić, — najistotniejszem. A skoro tak, to musi również istnieć dla sztuki ocena jej moralna.

Raz jeszcze, dobitnie pragnę zaznaczyć, że swoją pracę społeczną dzieło sztuki dokonywa bez współudziału i pomimo tej czy innej świadomości samego artysty. Sztuka jest siłą twórczą, podobną do miłości, która łączy mężczyznę z kobietą. Dla kochanków miłość ich może być wszystkiem, co oni sobie o niej wyobrażają, dla przyrody zaś jest ona tylko środkiem trwania i rozwoju życia. Możnaby nawet postawić taką zasadę bio-i psychologiczną, że rozwój gatunku zyskuje na tem, gdy miłość nie zna, raczej — nie uświadamia sobie swojego celu przyrodniczego, wtedy bowiem — pod ognistą zasłoną uczuć, prawo doboru z tem większą działa siłą i pewnością. To samo dzieje się pomiędzy artystą a sztuką. Niema potrzeby, żeby artysta znał i uświadamiał sobie społeczne prace i cele sztuki, lepiej, owszem, dla jego dzieła, gdy duch artysty skupia się na niem z całym egoizmem i z całą wyłącznością wyrażenia samego siebie, bez względu na społeczne jego trudu losy. Wyboru społecznego dokona samo społeczeństwo: przyjmie, albo odrzuci dzieło, oceni je tak lub inaczej, czasem—dziś tak, a jutro—inaczej. Wszystko to zależy już nie od artysty i nie do jego czynności należy. Gdy dzieło sztuki opuści pracownię artysty i wyruszy w świat, działanie jego samo przez się staje się wychowawcze, a wartość jego stanowi zarazem nieomylny sprawdzian wartości samego artysty — tak artystycznej, jak i moralnej.

W płaszczyźnie jednak, na której tu moralność postawiłem, odróżnienie strony artystycznej od moralnej w dziele sztuki staje się niemal formalne, a nie istotne, bo taka pomiędzy niemi zachodzi różnica, jak pomiędzy wypukłą a wklęsłą stroną odcisku wytłoczonego w płycie szkła roztopionego. Na wędce tego orzeczenia wisi złoty haczyk dla rybich dusz krytyków złotego środka literackiego. Lecz, na nieszczęście, haczyk posiada przynętę w postaci pewnego osądu filozoficznego, dla owych dusz niepojętego, więc się go ryby złotego środka nie imają. A szkoda, bo jużby się nim oddawna udławiły. Pewnikiem jest mianowicie, że każda wartość artystyczna sama

w sobie posiada siłę wychowawczą, zatem — moralną, złą albo dobrą, co już zależy od przesłanek oceny. Z miejsca tu tedy i w formie dla ryb paradoksalnej można powiedzieć, że dana barwa w obrazie malarskim, dźwięk w dziele muzycznem, słowo w poezji — są moralne, lub niemoralne, a z tem większą oczywistością można ocenę tego rodzaju zastosować do harmonji barw, dźwięków, słów i wszelkich wogóle czynników artystycznych, do budowy, rytmu, tonu i każdej w sztuce syntezy, a wreszcie — do każdego dzieła sztuki, oraz w wyniku ostatecznym — do artysty, jako artysty.

Istotnie, gdzie, jak w sztuce, chodzi o wielkość lub małość, o górność lub poziomość, o siłę lub słabość, o odwagę lub tchórzostwo — i tak dalej, tam działają kategorje moralne, na co same nazwy ocen wskazują. Gdy nazwa oceny niema bezpośredniego związku z moralnością, jej analiza z łatwością ją do dziedziny moralnej sprowadza. Niedawno na tem miejscu p. Michał Pawlikowski dał znakomity dla sprawy tu omawianej, przykład obrazowy w umyślnej parafrazie kilku zwrotek własnego swego poematu („Zwierzenia poety“ w zeszycie 6-tym „M. Nar.“). Parafraza zachowuje treść logiczną i formę (niecałą) wiersza, ale umyślnie pozbawia go wartości artystycznych. Otóż odrazu tu rzuca się jednocześnie w oczy obniżenie w owej parafrazie tonu, siły i wielkości ducha, czyli wartości moralnych, które werdzennie (immanentnie) tkwią w odpowiednich wartościach czysto artystycznych. W samym poemacie nie przemawia tylko słowo „Gedeona“ („Jam jest złota pochodnia wojny Gedeona!“) Co do mnie, to musiałem szukać tego imienia w encyklopedji. Okazało się, że to jakiś żyd, o którym pamięć przechowuje Tora czy Miszna. Ale i po tem objaśnieniu, imię to pozostało pustym dla aryjskich uszu dźwiękiem. Możnaby z tym samym skutkiem użyć imienia jakiego Sudańczyka ze szczepu Njam-Njamu, byle ono do rymu się nadawało. Z tem zastrzeżeniem— jakaż olbrzymia różnica nietylko artyzmu, ale i wartości moralnych, pomiędzy zwrotkami samego poematu, a ich parafrazą! A tę różnicę osiągnął autor w przeróbce tylko przy pomocy zmienionych wartości artystycznych. To samo uczynić można z każdem dziełem sztuki, by doświadczalnie przekonać się o tożsamości (wypukło-wklęsłej) środków artystycznych i cech moralnych.

Praca, którą sztuka dokonywa w społeczeństwie, w duszach jej odbiorców, posiada charakter wybitnie wychowawczy. O tem, zdaje się, nikt nie wątpi. Lecz wychowuje nietylko w kierunku artystycznym, tak zwanego „piękna“. Każda bez wyjątku wartość artystyczna ma swój odpowiednik moralny, a żeby go odkryć, wystarczy odwrócenie jej podszewką nazewnątrz. Zaś ogół odbiorców sztuki, jak o tem dobrze wiadomo, najczęściej wcale nie odczuwa artystycznej strony dzieł sztuki, natomiast bardzo mocno wchłania jej (dla „znawców“ ukryte!) odpowiedniki moralne. Dla ogółu artyzm jest tylko rodzajem hypnozy, z której on sprawy sobie nie zdaje. Ważne dlań i uświadomione są tylko rozkazy hypnozy, czyli — jej treść moralna. W tem właśnie tkwi potęga sztuki, potęga wychowawcza (zła albo dobra).

Jakie z rozważań powyższych wynikają wskazania w zakresie, naprzykład, stosunku środkowej krytyki polskiej, do będącej na dobie (czyli nadobnej) bolszewickiej sztuki krypto-żydowskiej, o tem, gdyby ta krytyka cokolwiek myślała, możnaby krótko do niej powiedzieć—*sapienti sat!*

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

Z MYŚLI JANA LUDWIKA POPŁAWSKIEGO

O DZIELE SZTUKI

ABY mogło powstać rzetelne dzieło sztuki, skupić się musi — zdaniem Jana Ludwika Popławskiego — kilka warunków; do najważniejszych należą: talent, wykształcenie, praca i idea [1]).

Wbrew przyjętej powszechnie opinji, Popławski wypowiada sąd, że talent jest pojęciem rozleglejszem, niż genjusz, czyli że genjusz jest tylko rodzajem talentu (III, 81).

Cechą talentu jest pełna świadomość tworzenia, z wykluczeniem intuicyjności lub bezwiedności. Talent nie zależy od przynależności do jakiejś grupy etnicznej, narodowej, do jakiejś epoki, czyli jest poza narodem i czasem. Dlatego „talent może być rośliną cieplarnianą“ — powiada Popławski — „wyhodowaną troskliwie na obcym jej gruncie, może być nie tylko kwiatem egzotycznym, ale nawet kwiatkiem na kożuchu...“ (III, 80).

Dałoby się więc powiedzieć, że talent związany jest nie z grupą zbiorową, ale z jednostką, rozważaną niezależnie do społeczności, niejako samą w sobie, suwerenną, żeby się modnie wyrazić. Dlatego talent może nie odbijać idei i właściwości narodu.

Talent jest dla Popławskiego zasadniczo synonimem oryginalnego, samodzielnego umysłu (III, 83). Ta samodzielność zaznacza się nietylko we „właściwościach“ talentu, ale nawet w metodzie tworzenia, w „robocie“ Zoli, Flauberta, Goncourtów, Daudeta czy Maupassanta (III, 140).

Mocne talenty nie zawsze są doceniane. Szczególniej „w epokach przełomu umysłowego... ani talentu, ani samodzielności poglądów dostatecznie się nie ceni“. W chwili, kiedy się wykonywa robotę historyczną, kiedy się ścierają dwie kategorje, dwie formuły poglądów, wtedy „zwłaszcza strona napastująca, która szła ławą na cofającego się w rozsypce nieprzyjaciela, musiała trzymać się ściśle zapewniającej jej zwartą organizację formuły. W takiej chwili umysł oryginalny, talent samodzielny wydawał się tylko pustym luzakiem, psującym porządek w ławie...“ (III, 83).

Tak zwłaszcza jest w chwili walki, w chwili podniecenia uczuciowego, ponieważ cechą talentu jest raczej pewna naturalna oziębłość, a zarazem jasność ujmowania zagadnień; pewna, równa poprawność i poprawna równowaga, wypowiadająca się najchętniej ustalonemi, „wyuczonemi formułami“ i „wystudjowanemi frazesami“ (III, 81), a obca mowie zwykłej, przepojonej uczuciem, a już szczególniej mowie naiwnej czy dobrodusznej zwykłego człowieka, prostaka nieutalentowanego.

---

[1]) Patrz artykuł w nr. 4 „Myśli Narodowej“ z dnia 18 stycznia r. b. pt. „O poglądach literackich Popławskiego“.

Talent jest zawsze pamiętliwy o sobie, świadom swej dostojności, niejako; nie zapomina się on nigdy; chętnie „śrubuje się nad poziom“ i nadaje sobie pozory większe, niżby mu się należały. „Każdy talent większy, każda wybitna indywidualność tworzy nowy gatunek, nową indywidualność. Gatunek ten czasem rozmnaża się, znajdując naśladowców w gronie talentów słabych, niesamodzielnych...” (III, 140).

Różnica między talentem a genjuszem „nie jest ilościową, tylko jakościową [2]). Twórczość genjalna... zawsze posiadać będzie właściwe sobie cechy, z których jedną, a bodaj najcharakterystyczniejszą, będzie intuicyjność, a nawet w pewnej mierze bezwiedność tworzenia“ (III, 79).

„Umysł genjalny jest rezultatem szczęśliwej kombinacji warunków dziedzicznych, spotęgowanym znowu wypadkowym, a dla danej indywidualności psychicznej pomyślnym zbiegiem wpływów zewnętrznych, społecznych, moralnych i fizycznych, a jak utrzymują niektórzy, nawet topograficznych i t. p. Ponieważ kombinacja warunków odziedziczonych, rezultatem której jest genjusz, musi być nader złożoną i różnorodną, indywidualizuje więc on w sobie wszystkie wybitne właściwości nietylko swego rodu w najszerszem znaczeniu tego słowa, ale i pnia społecznego, z którego wyrósł, wszystkie znamienne właściwości swego plemienia, swojej rasy...“ (III, 80).

To tłumaczy, dlaczego „genjusz jest i zawsze musi być narodowym, co nie znaczy bynajmniej, aby nie mógł się stać wszechludzkim, jeżeli odziedziczone właściwości i tradycje, jeżeli wpływy, jakie w siebie wchłania, mają charakter ogólniejszy, idealny...” (III, 80).

Takie ujęcie przez Popławskiego istoty genjuszu jest przywróceniem temu pojęciu jego antycznego znaczenia. Starożytność bowiem pod „genjuszem" (*genius*) rozważała istotę boską, opiekującą się wszystkiem, co się rodzi i powstaje. Byli więc genjusze ludzi (mężczyzn), rodów, miejscowości, państw, narodów; „genjusz“ skupiał w sobie wszystkie możliwości, moce i uzdolnienia; „genjusz“ narodu, „dawca i władca w jednej osobie“ (jak się wyraził prof. W. Bruchnalski w swej mowie o Sienkiewiczu) ogniskował w sobie to wszystko, co było istotą i odrębnością narodu; „genjusz“ wpływał na rozkwit tych cech rodzimych.

Popławski, najszczerszą intuicją wiedziony, te właśnie strony uzdolnień widzi w genjuszu, gdy mówi dalej, że „w genjalnym umyśle odbijają się wszystkie słabe i silne strony twórczości duchowej, właściwości temperamentu narodowego. Jeżeli przyjmuje promienie idej ogólnych, to w tej formie, w jakiej przełamały się one w naszej indywidualności...“ (III, 80).

Genjalność jest „intuicją“, „samorodną siłą twórczą, której ani pojąć, ani ocenić nie mogą mistrze wyuczonych formuł...“ (III, 81).

Genjusz jest „niewytłumaczoną z pozoru mieszaniną szerokich pomysłów, śmiałych wzlotów nietylko ponad najbliższe otoczenie, ale ponad ludzkość całą, oryginalnych spostrzeżeń, zuchwałych uogólnień, z powszedniemi, a nawet często trywialnemi twierdzeniami w sprawach praktycznych, z obiegowemi zdaniami mądrości życiowej, z komunałami w treści i rutyną w formie utworów...“ (III, 81).

„Genjusz dlatego właśnie, że uosabia w sobie różnorodne właściwości tradycji i rasy... musi ulegać również ujemnym wpływom czasu, miejsca i ludzi... tembardziej, że znamienną cechą genjusza, ściśle związaną z nieświadomym charakterem jego twórczości duchowej, jest pewna naiwność, często nawet dobroduszność. Naiwność ta nawet zwykle myli filistrów, którzy, schylając kornie głowy przed miernym talentem, jeżeli wystudjował swoją rolę i wyśrubował się nad poziom — poniewierają nieraz genjuszem, bo za panbrat go traktują...” (III, 82).

„Ale wreszcie przyjść musi chwila” — mówi Popławski, myśląc o Prusie i jego otoczeniu „kurjerkowem” — „kiedy umysłowi genjalnemu obrzydnie to obcowanie przyjacielskie z umysłami gawiedzi, kiedy wszystkie fibry jego subtelnej organizacji zadrgną ze wstrętu i zbuntują się, kiedy duch jego szamotać się zacznie z obezwładniającą go powszednością otoczenia. Na każdego z ludzi współczesnych, obdarzonego bardziej wrażliwą organizacją nerwową, przychodzą chwile szału, zwątpienia, rozpaczy, ale kiedy w ludziach zwyczajnych są to zawsze uczucia przelotne, które pozostawiają mniej lub więcej trwałe następstwa lub nie pozostawiają żadnych zgoła, w naturach wrażliwych żłobią głębsze ślady i podniecają twórczość duchową...“ (III, 82).

Talent tedy jest pierwszym, naturalnym, a nieodzownym warunkiem wszelkiej pracy twórczej.

Warunkiem następnym jest wykształcenie, ale trzeba się strzedz, aby wiedza nie przeszła „w rutynę naukowego myślenia“, ponieważ taka rutyna „tamuje polot twórczości... o ile w pewnych razach pisarz otrząsnąć się z niej nie może...“ (III, 87).

Więc, najpierw ta „rutyna naukowego sposobu myślenia” czyni „pomimo woli a nawet wbrew — w wielu razach pisarzem wybitnie tendencyjnym” (III, 35), przyczem wyróżnia Popławski dwojaką tendencyjność: jedną „w imię abstrakcyjnych mrzonek”, „naginającą wątek powieści do pewnego celu, gwałcącą prawdę realną i poruszającą nicią z góry powziętej myśli marjonetki, które przedstawiać mają żywych ludzi...“ i drugą: „w lepszem znaczeniu“, „która wsłuchuje się w bicie społecznego tętna, bada prądy chwili i stara się określić ich granice i kierunek...“ (III, 22).

Powtóre, wpływa owa rutyna na to, że „od opisu szczegółów” przechodzi przy tem przyzwyczajeniu pisarz „stopniowo do uogólnień, każdy fakt stara się określić, wytłumaczyć, na właściwem miejscu postawić...” (III, 116), czyli na miejsce obrazów wysuwają się uogólnienia; zamiast plastyki mamy pojęcia oderwane, i utwór artystyczny przechodzi w rozprawkę naukową.

Potrzecie, autor z „rutyną naukowego myślenia“ nie poprzestaje na odmalowaniu ciekawego jakiegoś okazu życiowego, np. indywidualnego jakiegoś szlachcica, co odpowiadałoby właśnie plastyce, obrazowości, wymaganej od utworu literackiego, ale „usiłuje tworzyć typy”, co może być pomocne dla naukowego badania, ale pięknu artystycznemu szkodzi, ponieważ dążenie do typowości nie pozwala na „malowanie ciekawych okazów“, na pokazanie „właściwości indywidualnych” (III, 118).

„Typ” bowiem „zawierać może” — mówi Popławski — „te tylko cechy, które się powtarzają u wielu osób danej warstwy czy grupy społecznej.

---

[2]) „Nie uważam genjuszu za wyższy czy najwyższy stopień talentu“ — mówi Popławski (III, 80).

Jeżeli, dajmy na to, na 100 charakterów szlacheckich w 70 zauważymy chciwość, w 50 safandulstwo, w 45 brak godności osobistej, w 60 tchórzliwość, w 50 pogardę dla niższych i t. d., to pomijając cechy wyjątkowe: fantazję, rycerskość i t. d., powiedzieć musimy, że typowy szlachcic jest chciwy, niedołężny, płaszczący się przed wyższymi, a butny wobec niższych, a wreszcie tchórzliwy... Taki będzie typ, którego jednak nie spotkamy w życiu, bo są tu tylko charaktery, posiadające, oprócz tych lub innych cech typowych, własności indywidualne..." (III, 118).

Celem każdego autora jest, naturalnie, odtwarzanie „przedewszystkiem" indywidualności, ale obok tego „nie powinien on zapominać o cechach typowych..." (III, 118) [3]).

Opracowanie, a raczej „robota" jest trzecim warunkiem powstania dzieła sztuki, bo „prawdziwie artystyczne utwory", bez „zrobienia" ich, powstać mogą tylko „cudem" — mówi Popławski (III, 145), a za przykład można dać to, co pisze Popławski o znakomitym satyryku rosyjskim, Szczedrynie, który „twierwdzi uporczywie, że jego sława literacka zależy nie tyle od talentu, ile od pracy mozolnej, i że każdy człowiek może być mniej lub więcej utalentowanym pisarzem, jeśli od dzieciństwa pracować będzie usilnie i prawidłowo w tym kierunku..." (III, 158).

Odrzuciwszy groteskowość tego „każdego człowieka", co i sam Szczedryn uznaje, bo do powyższego sądu dodaje: „rozumie się (każdy będzie pisarzem), jeżeli nie jest idjotą lub matematykiem"— trzeba zaznaczyć, że podobny punkt widzenia o znaczeniu pracy ma i Popławski, który nietylko przytacza opinję Szczedryna, ale i od siebie mówi, że „wielu ludzi istotnego genjuszu" są „olbrzymami pracy..." (III, 157).

O wielkiej roli i znaczeniu „roboty" w dziele sztuki mówi Popławski w sposób zdecydowany, „Każde dzieło sztuki, czy to poemat, czy powieść, obraz czy rzeźba, czy wreszcie kompozycja muzyczna — musi być „zrobione"" — oświadcza, posuwając się nawet do twierdzenia, że „technika utworu... nadaje mu dopiero cechę artystyczną..." (III, 138).

Wysoce to słuszne stanowisko, szczególniej u nas, gdzie olbrzymie częstokroć zdolności nie wznosiły się i nie wznoszą do wyżyn artyzmu, właśnie dla braku świadomości, że do osiągnięcia pełni artyzmu potrzeba pracy, wytężonej i stałej.

Mówi o tem Popławski w ten sposób: „Usilna, staranna robota w znacznej mierze stanowi o wartości artystycznej (dzieła). Pomysł, koncepcja utworu może być wcieleniem nagłego, niespodziewanego natchnienia, ale i natchnienie, ta „błyskawica twórczości", jest, jak się zdaje, rezultatem uprzedniej, długiej, tylko nieuświadomionej „roboty" myśli, jak się wyrażają niektórzy, „cerebracji bezwiednej"... (III, 138).

„Dzieło sztuki powinno być starannie zrobione, wykończone w szczegółach" — mówi w innem miejscu Popławski — a ta „dokładność roboty konieczną jest nietylko w wykonaniu, ale i w obserwacji charakterów i objawów życia, które autor wybiera" (III, 141).

„Zapewne" — mówi gdzieindziej Popławski — „są głośni, a nawet znakomici autorowie, którzy bardzo mało opracowywali swe utwory i pomimo to, bo nie dlatego chyba, pisali arcydzieła"... (III, 38).

Technika pisarska zależy przedewszystkiem od umiejętności, dokładności i staranności roboty. Nietylko nowsi, ale i dawniejsi, znakomici pisarze opracowywali starannie swoje utwory, bo, — jak słusznie zauważa Popławski — „jeśli każde dzieło sztuki musi być „zrobione", to przecież sumienność i sprawność roboty podniesie tylko jego wartość"..., byle pamiętać, że „ślady roboty psują wrażenie artystyczne" (III, 138).

„Właściwością też każdej porządnej roboty" jest „dokładność obserwacji, staranność wykonania"... (III, 140).

Ważną jest sprawa kompozycji dzieła, czyli rozplanowania materjału między części utworu. „Nierówność kompozycji" uważa Popławski za wadę, ale czasami „pozorna nierówność" staje się zaletą, gdy nie na liczbę stronic w rozdziałach, ale na należyte uwydatnienie treści autor zwróci główną uwagę, choćby miał przytem naruszyć zasadę mechanicznego, równomiernego podziału utworu na rozdziały, o jednakiej liczbie stron. Skoro bowiem rozdział każdy odpowiada nowej myśli, posuwającej naprzód całe dzieło, i koniecznej z tego względu, skoro każda myśl inaczej się rozwija — „nierówność" staje się rzeczą naturalną i nie może w kompozycji dzieła być uważana za rzecz złą. Popławski daje przykład takiego wypadku, mówiąc o powieści Sygietyńskiego: „Wysadzony z siodła". W powieści tej „rozdział czwarty zajmuje 84 stronice, t. j. prawie czwartą część powieści, kiedy niektóre inne mają zaledwie po kilkunaście stronic"... (III, 143), mimo to krytycy niesłusznie robiliby z tego faktu zarzut autorowi, a raczej „zarzut dotyczyć może chyba stosowności wybrania danej sceny do demonstracji przed czytelnikiem"... (III, 16).

Rozpatrując metodę pisarską Dygasińskiego i Sygietyńskiego, daje nam Popławski charakterystykę dwu metod „naturalistycznych", mających znaczenie ogólniejsze. Jedna (Dygasińskiego) „przedstawia nam przebieg zjawiska, tłumaczy proces spostrzegania i wypowiada wszystkie refleksje, jakie mu zjawisko to w danej chwili nasuwa". Jest to metoda, wprowadzająca „czytelnika w świat przyrody" i tłumacząca mu jego zjawiska. Druga metoda (Sygietyńskiego), to „naturalista w pracowni". Nie pokazuje on „procesu zjawiska, nie tłumaczy go w przebiegu, ale objaśnia za pomocą szeregu umyślnie przygotowanych, w kolejnym porządku ułożonych demonstracyj, za pomocą pracowicie, dokładnie odrobionych, subtelnie wykończonych preparatów"... (III, 142).

Przy stosowaniu tej metody „ważnym jest odpowiedni wybór charakterów i objawów życia oraz wybór miejsca na te przekroje czy to indywidualności ludzkiej, czy sfery społecznej, które autor po odpowiedniem przygotowaniu i zabarwieniu chce nam pokazać". Z natury tej metody wynika, że „każda powieść będzie szeregiem oddzielnych epizodów, nie wypadkowych jednak, ale umyślnie wybranych"... (III, 143).

W tem ujęciu jedynie uprawniony jest epizod jako czynnik artystyczny. Obejmuje epizod „pewne wybrane momenty i objawy znamienne", charakterystyczne i sprawiające „odpowiednie wraże-

[3]) Mówiąc o „własnościach indywidualnych" i typowości, trzeba tu zaznaczyć, że w pojęciu, przyjętem ogólnie— to, co jest „indywidualne", jest „charakterystyczne", wybijające się nad poziom; tymczasem ze słów Popławskiego, że nie jest „charakterystycznem to, co było szczytem najlepszych dążeń owoczesnych" (III, 43) wypływałoby, że „charakterystycznem" jest to, co jest powszechne, a więc nieindywidualne.

nie"; każdy epizod też musi przedstawiać poniekąd skończoną całość artystyczną, chociaż jest w gruncie rzeczy „sceną luźną", z osobami „wstawionemi przypadkowo"... (III, 16).

Należy wreszcie dodać, że Popławski uważa za obowiązek każdego pisarza „dążenie świadome do wyboru metody pisarskiej" (III, 16).

Talent, wykształcenie, praca, to środki, umożliwiające powstanie dzieła, ale cel, uprawnienie dla dzieła daje idea.

Co pozwala — pyta Popławski — „coraz żywiej, coraz silniej uderzać sercom, ożywiać się twarzom i długo pozostawać do głębi wzruszonemi, zadumanemi, oczarowanemi?"...

Osiągnąć to zdolna „pieśń o wielkich ideach, o wielkich sprawach, o krwawych ofiarach i pracy mozolnej"; „hymn trjumfalny na cześć młodzieńczego entuzjazmu"; „opowieść o ciężkiej doli ubogich i maluczkich"... (III, 35).

„Trafia do serca słuchaczy — liryka, egzaltacja prorocka, skarga nad wodami Babilonu"... Porwała, oczarowała czytelników powieść Sienkiewicza historyczna, w stylu romantycznym, a obok tego „ogół czytelników przyjmuje z uniesieniem... palące kwestje społeczne"... (III, 36).

Powieść Sienkiewicza — jak to sam Popławski wyjaśnia — była, „po okresie, suchym i zimnym, racjonalistycznym pozytywizmu" — „reakcją na rzecz wielkich idej i uczuć zbiorowych"... (III, 36).

Ta „reakcja" stwierdzała głębokie zmiany w społeczeństwie, bo „wielkie ideje krzewić się nie mogą w atmosferze rozkładającego się społeczeństwa, w stęchliźnie pleśniejącej tradycji"... (I, 12) i „tylko wielka idea zdoła zelektryzować apatyczną gromadę, która żyje bez myśli"... (I, 13).

Dałoby się powiedzieć o wielkiej twórczości to, co mówi Popławski o „dobrych obywatelach" i ich stosunku do idei. Ironizując nad „geometryczną" klasyfikacją idej przez Bolesława Prusa, — „na wielkie i małe, szerokie i wąskie" (I, 10), mówi Popławski, że „społeczeństwo potrzebuje dobrych obywateli, kto zaś śmie powiedzieć, że lepsi są ci, którzy z lekkim pakunkiem „małych idej" szczęśliwie pływają na powierzchni, aniżeli ci, którzy obarczeni ciężarem „wielkiej idei" zniknęli w głębinach; że więcej warci są ci, co dbają o dzień dzisiejszy, aniżeli ci, którzy myślą o jutrze?"... (I, 13).

Bardzo żałować należy, że Popławski zagadnień stylistycznych nie porusza, bo spodziewaćby się można bardzo ciekawych spostrzeżeń, wnosząc z takich, np. uwag, że „epitety służą przecie do charakterystyki, nie do oceny" (I, 140); albo, że „w sztuce styl narodowy rozwija się z objawów oryginalnej twórczości ludowej" (II, 166); albo, że siłę wrażenia osłabia łączenie w jednym utworze wykluczających się wzajemnie pierwiastków, np. wypowiadanie w poetyckim manifeście politycznym — poglądów estetycznych, jak to uczynił Kasprowicz w zbiorku „Poezje", 1889 (III, 69); albo, że melodramat to „warjacje na stary temat o męczennikach, opromienionych glorją cierpienia, o nędzy wygnania, o okrucieństwie ludzi", słowem „rzeczy, których spragniona silnych wrażeń publiczność lubi słuchać..." (III, 18) albo, że „ścisłość nie jest koniecznym warunkiem przemówień bankietowych, ale i one nie powinny mijać się z prawdą,.." (I, 84).

O języku, tworzywie dzieł literackich, mówi Popławski również nie wiele, ale ciekawie. Więc, wyraża się najpierw, że mowie polskiej właściwe są „długie, męskie okresy..." (III, 33), a w drugiem miejscu, poddając krytyce współczesną sobie twórczość, mówi, że „dla filigranowych utworów język nasz odpowiednio przerobiono, obrzezano, zeszpecono szkaradnie; nazywa się to stylem nerwowym, a przypomina nieczłonkowane wykrzyki gwary małpiej..." (III, 34)

To głębokie oburzenie, ta boleść miłośnika mowy ojczystej, jaka płynie z pod sarkazmu — najlepiej stwierdza, jak wielkie znaczenie przydawał Popławski językowi, temu wykładnikowi treści wewnętrznej, duchowej narodu. Charakterystyczną jest w zdaniu powyższem wzmianka o „obrzezaniu" języka; ma tutaj na względzie Popławski zniekształcające wpływy żydowskie również na psychikę, na język polski; i w zdaniu o „długich, męskich okresach" wskazuje Popławski na to samo przystosowanie się polskich literatów do obcego, żydowskiego elementu. Polacy bowiem, pozostawieni sami sobie, mówiliby „swojemi męskiemi, długiemi okresami", nie potrzebowaliby języka „przerabiać" na „gwarę małpią". Dobitnie zaznacza to Popławski, mówiąc, że „język książkowy (u nas) nie posiada żadnych prawie specjalnych znamion fonetycznych, coraz bardziej zaciera istniejące lub nawet przybiera obce... wpływ Żydów (i cudzoziemców) wyraźnie się zaznaczył pod tym względem..." (III, 319).

Nietylko „styl narodowy" wyprowadza Popławski z „twórczości ludowej", pragnąłby on i odrodzenie językowe oprzeć na języku ludu polskiego. Robi też bardzo ciekawe wzmianki o nasalizmie polskim np., albo o tem, że „nikt dotychczas dokładnie nie obliczył, ile właściwie język polski w rozmaitych gwarach ludowych posiada samogłosek", a potrzebne nam to, aby oprzeć się twierdzeniu tych uczonych, którzy sądzą, że językowi polskiemu „obcą jest długość i krótkość samogłosek" (III, 320).

Jeden z pierwszych mówi Popławski (w 1893 roku), że „nazywanie mowy kaszubskiej gwarą chłopską, „zepsutą polszczyzną" i t. p. żywiołowi polskiemu nie przynosi żadnej korzyści, tracą zaś na tem bardzo wiele sami Kaszubi...", że „mowa Kaszubów jest istotnie oryginalnym, samorodnym indywidualizmem językowym, i byłoby pożądanem, żeby ci, co ją dobrze znają, zechcieli próbować sił swoich na polu literackiem..." (III, 326).

IGNACY KOZIELEWSKI

Z HEINEGO

Wciąż, liljo mych marzeń prześnionych,
Posępnie się schylasz nad stokiem
I płacząc rosami srebrnemi,
Oskarżasz mnie w żalu głębokiem:

Ach, odejdź, zły kłamco, odemnie,
Ostrzegły mnie siostry życzliwe,
Że róża, ma piękna kuzynka,
Posiadła twe serce fałszywe.

Tłum. STEFAN ŻEROMSKI

Wierszyk ten przepisuję z karnetu, przeznaczonego na Bal Literacki, który urządzała na swój dochód, w Warszawie, Kasa Literacka w dn. 30 stycznia 1902 roku. Stefan Żeromski wpisał go drobnemi literkami, na małej przestrzeni kartki, pod „secesyjnym" obrazkiem, wyobrażającym główkę kobiecą z białym kwiatem we włosach. Z. W.

NA WIDOWNI

Kryzys moralny. — Polska jako szkółka dla dzieci zaniedbanych moralnie.—Rozmówki między arystokracją, uczonymi, politykami. — Parlament. — Na czyje uznanie właściwie pracujemy? — Bezwrażliwość. — Prasa.

NIGDY bodaj nie było w Polsce takiego ożywienia dydaktycznego na polu nauk politycznych, gospodarczych i moralnych. Istna szkoła — i to połączona z wszechstronnemi studjami doświadczalnemi. Kto się teraz czegoś nie nauczy, to już godzien oślej ławy. Lekcja bardzo kosztowna: naród w swoich dziejach nie może zbyt często na takie eksperymenty sobie pozwalać.

Materjał szkolny bardzo mamy oporny, ale życie samo urządza pewien podział na klasy, stosując selekcję. W szkołach powszechnych okazały się bardzo pożyteczne osobne oddziały dla głuptaków i dzieci zaniedbanych moralnie; pozwalają one różniczkować metody nauczania i ratują żywioł zdrowy od rozkładu.

Przed dziesięciu choćby laty nie myśleliśmy o tem, że istnieją tak olbrzymie różnice w poziomach kultury duchowej; sądziliśmy, że one istnieją jako przepaście między warstwami społecznemi — ludem i górą oświeconą. Nie przyglądaliśmy się zresztą tym rzeczom dokładnie, nigdy bowiem nie narzucały się tak drastycznie. Ubolewaliśmy z powodu opóźnienia się pewnych sfer w kulturze politycznej, kłóciliśmy się o „orjentacje“ na mapie politycznej, o poglądy socjalne, o ideały wychowawcze (realizm czy werbalizm), ale nie pamiętam, żeby różnice w traktowaniu dekalogu, lub w poglądach na przyzwoitość, honor, godność dzieliły społeczeństwo na obozy. A teraz dzielą zupełnie jak w szkole, po zastosowaniu selekcji; a w każdej grupie głównym przedmiotem nauki są zagadnienia moralne.

Widocznie tego wymaga nasz los, żebyśmy tę elementarną szkołę powszechną na początku nowej ery przebyli, jako społeczeństwo moralnie zaniedbane.

Czyśmy kiedy myśleli o tem, że spierać się będą publicznie o elementarne zasady uczciwości, godności — ba — nawet przyzwoitości towarzyskiej przedstawiciele wielkich rodów? A przecież czytamy teraz wykład hr. J. Tarnowskiego pod adresem ks. Janusza Radziwiłła na te tematy, wykład beznadziejny zresztą, bo ten potomek starożytnego rodu zapowiedział zgóry, że „nie trzeba nam od was uznania“—i kropki. Ach, te kropki; całe nasze życie publiczne jest tak drastyczne, że w prasie przysłaniamy je kropkami lub zgoła białemi plamami.

Albo różnice między profesorami uniwersytetu. Profesor prawa publicznego w Poznaniu wykłada w prasie profesorom najstarszej uczelni polskiej w Krakowie, że polityka, prawo i moralność to są sprawy życia, które nie mają styczności ze światem naukowym, uczeni nie mają prawa wyrywać się ze swemi opinjami — „nie trzeba nam od was uznania“. I kropki na nutę pierwszej brygady.

Zawodową szkołą polityki, prawa i moralności jest parlament. Ogół polski z uwagą studjuje sprawozdania z obrad parlamentarnych. Nie będę więc opisywał tych sprzeczności biegunowych, jakie zachodzą w poglądach na elementarne interesy narodu między obozem niezależnym i rządowym, sprzeczności sięgających nieraz w głębiny filozofji i poezji. Niema tematu bezspornego, któryby przemawiał swoją dogmatycznością jednako do umysłu polskiego. Dość przytoczyć dyskusję w sprawie obrony granic państwa. Na fakty i cyfry posła Arciszewskiego, min. gen. Konarzewski odpowiada (przytaczamy z „Gazety Pol.“, nr. 38):

„Nas żołnierzy mocno obraziły słowa p. Arciszewskiego, który powiedział, że obecny minister spraw wojskowych Marszałek Piłsudski, wobec przeciążenia robotą, nie może należycie kierować ministerstwem. Może z punktu widzenia p. Arciszewskiego, z punktu widzenia człowieka przeciętnego, ma on słuszność, ale Marszałek jest genjuszem, uznanym przez cały świat, i tylko w Polsce są ludzie, którzy w to wątpią (oklaski na ławach BBWR).

Specjalnie muszę zaznaczyć, jako ten, który miał dużo sposobności pracowania pod kierownictwem Marszałka Piłsudskiego, że właśnie On ma specjalny genjusz Wodza. Z tem się trzeba urodzić, tego nie można zdobyć. Ten przyrodzony genjusz jego został pracą jeszcze bardziej rozwiuięty. Dla Marszałka wszelkie prace związane z obroną Państwa, organizacją armji są najprzyjemniejsze i oddawanie się im, to dla Niego wypoczynek. Pułkownik Arciszewski myli się twierdząc — ciągnie dalej gen. Konarzewski, — że wydatki na rezerwę zaopatrzenia zostały zmniejszone. Co do wydatków biurowych to ich zwiększenie spowodowane jest uporządkowaniem, tak ważnem dla mobilizacji — ewidencji rezerwy.

Co do funduszu dyspozycyjnego, nie będę wyjaśniał jego potrzeby. Dla każdego ona jest zrozumiała. To żeśmy wydali tyle, ileśmy mieli, jest dowodem, że panuje u nas porządek, ale to bynajmniej nie znaczy, że nie było to ze szkodą dla Państwa i wojska“.

Sprzeczności zresztą są tak duże, że mówca rezygnuje z argumentów i kończy:

„Proszę Panów, kto chce—zrozumie, kto nie chce—tego nie przekonam. (Oklaski na ławach BBWR).“

Te oklaski w nawiasie—to aprobata większości, przecinająca wszelką dyskusję: „nie trzeba nam od was uznania“.

Komisja spraw zagranicznych w Senacie. Obecny wiceminister spraw zagranicznych. Budżet M. S. Z. Poruszane są najżywotniejsze i najdrażliwsze sprawy bytu Państwa. Przedstawiciele opozycji ze stronnictw: socjalistycznego, ludowego, narodowego z powagą i nie bez akcentów tragicznych komentują sprawozdanie. A referuje kobieta, senatorka z łona większości; owa większość milczy, bo i nie wiedziałaby, co mówić, i co mówić wolno. Referentka czyta biegle i rezolutnie odpowiada. Fundusz dyspozycyjny i propagandowy uznała za najważniejszy w budżecie, ale—oczywiście—analizować go, ze względu na jego charakter, nie będzie. Senatorowie pomienieni z opozycji po kolei oświadczają się przeciw temu funduszowi. Skreślić go! Bo co za sens, gdy sprawy tak w kraju się ułożyły, że cały świat czyta je na odległość jak z książki i komentuje, gdy prasa zagraniczna zapełniona jest rewelacjami o Brześciu, Małopolsce Wschodniej, Śląsku, Łucku, — co za sens, powiadają, wyrzucać pieniądze na wydawanie przekładów z polskiej literatury i na broszury, których nikt nie czyta. I przytaczają głosy przestróg, których nam nie szczędzą przyjaciele Polski w państwach sojuszniczych. Trzeba było słyszeć oburzenie referentki. A sens był taki:

— Także coś! Mamy zmieniać politykę wewnętrzną, żeby się obcym podobać! Nie trzeba nam od was uznania... I kropki.

A przedstawiciel rządu z najzupełniejszą flegmą pominął wszelkie *meritum* rzeczy i oświadczył, że Liga Narodów bynajmniej nie stwierdziła na Śląsku przekroczenia konwencji. Większość przyjęła sprawozdanie.

Widzimy z tych obrazków, że lekcje w naszej zawodowej szkole politycznej prowadzone są bez żadnego względu na rzeczywistość — wbrew temu, co naród myśli i czuje. Większość zachowuje się umysłowo bezwładnie, działa swoim ciężarem, ślepa jest i głucha.

Czy nie zdolna jest rozumieć zagadnień politycznych? Rozumiałaby, lecz jest zatruta moralnie. Człowiek, który stracił zdolność reagowania swojem moralnem jestestwem, wyobcowany jest duchowo z życia publicznego. Senatorka Kłuszyńska, socjalistka, w mowie swojej na ogólnem posiedzeniu senatu, patrząc w oczy senatorom konserwatystom wołała:

— Do czegoście doszli, coście z sobą zrobili! Przecież przed wami roztaczane są tragiczne obrazy, a wy cynicznie się uśmiechacie!

A ci się uśmiechają. Twarze są jak owe kropki: „Nie trzeba nam od was uznania"...

Są własnością prywatną, więc dobro sprawy publicznej mało ich obchodzi, są klijentami, więc na uznaniu społeczeństwa im nie zależy. Moglibyśmy się obejść bez wymiany wzajemnej słów uznania, ale moment drastyczny stosunków leży w tem, że tajemnica pokrywa pytanie, na czyje właściwie uznanie Polska w tych warunkach pracuje.

Nie dowiemy się o tem z prasy, walczącej ze społeczeństwem, jako z opozycją. Obłudna głupota rozpiera się w stolcu opinji publicznej z bezczelną miną. Protektorka zbrodni, sadystka, miłośnica niezdarnego kłamstwa, szuka uznania u apaszów. Poziom życia obniża się gwałtownie.

Rolnik się skarży, że zboże coraz tańsze — niewiadomo, co z niem robić. To prawda, ale wogóle życie całe traci cenę i nie wiadomo, co z niem robić. Czy był kiedy w Polsce tańszy człowiek — jego cześć, jego godność, rozum, siły, aspiracje? Jego najświętszy ideał życiowy — chwała i moc Polski — źle jest notowany na giełdzie zsanowanych walorów.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

OSWAJANIE

Zwolna i systematycznie dokonywa się w Polsce współczesnej swoistego rodzaju praca oswajania społeczeństwa z bolszewizmem.

Odpowiednie czynniki międzynarodowe oceniają kulturalny stan społeczeństwa polskiego, jako mało jeszcze przygotowany do nagłego przewrotu bolszewickiego. Wybuch mógłby się nie udać, jak nie udał się swojego czasu w Niemczech, albo minąłby szybko bez skutku pożądanego, jak to się stało w państwie węgierskiem. A takie wybuchy nieudatne odgrywają rolę szczepionek przeciwbolszewickich: trochę gorączki i strat, ale w wyniku wzmożona i niezwalczona odporność społeczeństwa przeciw jadom choroby — przynajmniej na czas dłuższy. Polska w międzynarodowym planie rewolucyjnym jest placówką zbyt ważną, ażeby *B'nei—B'rith* mogło sobie w niej pozwolić na wybuch nieprzygotowany. Dlatego B. B. pracuje tu metodycznie, ostrożnie, posuwa się krok za krokiem i ciągle w sposób praktyczny bada grunt.

Uwaga społeczeństwa polskiego w sprawach bolszewizmu skierowana jest głównie, czasem wyłącznie na oddolne i uliczne wichrzenia komunistów. Ale tam — rzec można — są tylko nogi bolszewizmu. Niepodobna żądać, żeby one — te nogi — trwały bez ruchu. Muszą bodaj na jednem miejscu dreptać, żeby się w zdrowiu utrzymać, o ile zaś zanadto brykają, unieruchomia się je w dybach na czas niejaki. To należy do metody. Natomiast głowa bolszewizmu i jego, jeśli tak wypada się wyrazić, — serce mieszczą się w górnych sferach społecznych, co już dziś nietylko rozumowaniem, nietylko wypadkami, ale wręcz jawnemi oświadczeniami, ze strony owych sfer ogłaszanemi, udowodnić można. Jako jeden z najjaskrawszych przykładów z pośród tego rodzaju programowych wynurzeń przytaczam tu uogólniony wywód uwag, które niedawno ukazały się w łódzkiej „Prawdzie" na temat protestów w sprawie brzeskiej. Owa „Prawda" jest tygodnikiem ideowym konserwatystów i fabrykantów stempla B. B. Oto wywód „Prawdy":

„Niewielki i głównie papierowy szum, jaki te protesty wznieciły w życiu publicznem, jest tylko maleńką burzą w małej szklance wody i jutro ucichnie. Większość inteligencji wyczuwa intuicyjnie ducha czasu i wie, że prawdą dnia dzisiejszego nie są deklamacje romantyczno - liberalno - humanitarne, lecz walka bezwzględna, walka, w której i głowy muszą z karków spadać i kości trzeszczeć. Symbolami epoki nie są już apostołowie tolerancji, wolności przekonań i dążności politycznych, lecz Mussolini ze swemi trybunałami faszystowskiemi i krwawemi samosądami, Hitler, za którym, jak za prorokiem średniowiecza, pędzi połowa narodu niemieckiego, porwana hasłem ścinania głów przeciwników politycznych i szkodników liberalnych, wreszcie Lenin i Stalin z czrezwyczajką dla burżujów. Życie polityczne wyzbyło się na szczęście liberalizmu i humanitaryzmu".

Niektóre poczciwe głowy polskiego dziennikarstwa narodowego przyjęły słowa „Prawdy", jako dowód, że „fabrykanci łódzcy stracili już wszystko, co posiadali, nawet... głowy". Wartoby jednak samemu pójść po rozum do głowy, fabrykanci bowiem — łódzcy i nie łódzcy — może tu trochę zawcześnie się wygadali, ale głowę mają i dość mocno na karku obsadzoną. Nie stracili jej i nie stracą dopóty, dopóki im jej kto nie obetnie, Jest — to — w danej sprawie — głowa zbiorowa, mianowicie głowa bolszewicka, która już siedzi w kraju naszym na czteromiljonowym tułowiu narodu przebranego z dodatkiem rąk niemieckich i niektórych polskich. Niema w tem zjawisku żadnego „paradoksu" życia polskiego. To jest fakt, ale nie tyle w fakcie tym tkwi straszliwość, ile w przerażającej, zaprawdę!, dobrotliwości, nieopatrzności i senności społeczeństwa polskiego, które na wszelkie B. B. *Bnei-Brith*'ów odpowiada swojem baraniem B. B. chorobliwej Beri-Beri, czyli śpiączki o nazwie japońskiej, ale treści — słowiańskiej. W czarnej o krwawych ślepiach głowie Belzebuba Bolszewizmu senne głowy Beri-Beri widzą tylko... brak głowy! Jest to jeden z objawów skutecznego oswajania Polski z bolszewizmem — na początek „ideowym".

Bolszewizm, chociaż nogi ma w dolnych warstwach społecznych, zawsze i wszędzie idzie od góry. Tę prawdę wysłowiło samo wygłoszenie powyżej przytoczonego wywodu łódzkiej „Prawdy". „Skandal!" wołają uczciwi. Nie! To nie skandal. To metoda. To oswajanie ludzi z czarnym łbem Belzebuba Bolszewickiego. Ukazuje się go wciąż— i tu, i tam, i ówdzie. W całej okazałości, albo poprzez filuterne gazy osłon—gęstszych, albo przejrzystszych. Spogląda ten łeb zewsząd — jednem złem ślepiem, albo dwoma, wręcz, albo z ukosa, wprost, albo zezem łobuzerskim. A cel tych pokazów ten jest, między innemi, żeby oswojone w ten sposób stado znieruchomiało w obliczu nadchodzącej Bestji Bafometowej.

ST. P.

NAUKA I LITERATURA

Z WALK O POLSKOŚĆ ZIEM ZACHODNICH

„CZYŻ nie jest rzeczą przykrą, że niema dotychczas spisanych dziejów życia polskiego pod zaborem pruskim, że niema monografji o dziejach oświaty polskiej w XIX w. na tym skrawku ziem naszych, że zginęły niemal zupełnie szczegóły procesu gnieźnieńskiego i toruńskiego, że „strajk szkolny“ niema osobnej książki, że „*Kulturkampf*“ znamy tylko z pamiętników i ze słabą obdarzonej pamięcią tradycji?“ — Słuszne te żale wypowiedział nie tak dawno temu Kisielewski w swej monografji o Towarzystwie Czytelń Ludowych (Światła w mroku), i jakby odpowiedzią na te żale jest nowa, wartościowa monografja, obejmująca inny ważny etap tej nieustannej i ciężkiej walki ziem zachodnich o polskość [1]).

Na podstawie ogromnej ilości dokumentów (nie równej zresztą wartości), przedstawia dr. Jabczyński „walkę dziatwy polskiej ze szkołą pruską“, drogę krzyżową polskiej młodzieży w szkole zaborczej, historję strajku szkolnego w Poznańskiem, na Pomorzu i częściowo na Śląsku. Autor rozpoczyna swą książkę od przedstawienia „systemu pruskiego antypolskiego w szkole“ poczem omawia „przyczyny wybuchu strajku szkolnego“. Przyczyn tych było sporo, więc forsowna germanizacja ziem zachodnich, prawa wyjątkowe, brutalny stosunek nauczycielstwa pruskiego do młodzieży polskiej, za co otrzymywali nauczyciele „*Ostmarkenzulage*“, wynagrodzenia specjalne i ordery, sprawa Wrześni i jej epilog przed sądem gnieźnieńskim, proces toruński — przedewszystkiem zaś przyczyna bezpośrednia — wprowadzenie nauki religji i pacierza w języku niemieckim dla młodzieży polskiej, wpierw w klasach wyższych, później na stopniu średnim, a nawet najniższym, gdzie młodzież słowa po niemiecku nie rozumiała.

Nadchodzą „zwiastuny burzy“ (rozdz. III). Strajk szkolny rozpoczęły dzieci wrzesińskie i prowadziły go od roku 1901 do 1904, kiedy ostatnia strajkująca, uczenica Śmidowiczówna strajkować przestała. Z Wrześni rozeszła się fala strajkowa na szkoły w okolicy. W roku szkolnym 1903/04 wygasa strajk szkolny zapoczątkowany przez Wrześnię. Strajk wrzesiński, niemal równoczesny wybuch strajku szkolnego w Królestwie, niesłychane szykany i terror stosowany do Polaków za udział ich dzieci w strajku, obudziły czujność, odwagę, świadomość narodową w całem społeczeństwie ziem zachodnich i przygotowały strajk powszechny, którego wybuch wypada na rok szkolny 1906/07, kiedy to władze pruskie, bez jakiegokolwiek uprzedzenia rodziców, wprowadziły naukę religji w dużej ilości szkół z przewagą dzieci polskich w języku niemieckim. Pierwszym odruchem społeczeństwa polskiego były tłumne wiece protestacyjne przeciw temu rozporządzeniu. Wiece te skutku żadnego nie odniosły. Sprawą zainteresowała się prasa polska („Gazeta Grudziądzka“, „Orędownik“, „Kurjer Pozn.“ i „Dziennik Pozn.“), która stała niezłomnie przy ludności polskiej, niezrażona licznemi karami pieniężnemi i więzieniem redaktorów. Również i kler solidarnie podtrzymywał ludność polską w walce o najświętsze prawa, religję i język ojczysty.

Padło hasło powszechnego strajku w tym sensie, że młodzież polska nie będzie odpowiadała po niemiecku na lekcjach religji, oraz nie będzie odmawiała pacierza po niemiecku. Z końcem czerwca 1906 r. doniosła prasa o rozszerzaniu się strajku po całym obszarze ziem zachodnich. Rozpoczyna się teraz walka dwuletnia, walka jakże bardzo nierówna. Dzieci małe, bite nieraz do utraty przytomności, nękane codziennemi, kilkugodzinnemi aresztami, pod dozorem specjalnie sprowadzonych, karnych nauczycieli, — rodzice ich, karani wysokiemi grzywnami, więzieniem, represjami administracyjnemi, podwyższeniem podatków — przeciw rządowi pruskiemu, który wszelkie te represje stosował z nieznaną w kulturalnym świecie bezwzględnością, brutalnością i cynizmem.

Nie pomogła prasa, nie pomógł kler, nic nie zdziałały protesty, petycje do papieża, śmiechem i drwinami zbywano interpelacje w *Landtag*'u i *Reichstag*'u. Nie znalazł się w Niemczech ani jeden szczery głos potępienia tych niecnych praktyk. Młodzież pozostała przez dwa lata nieugięta, chodziła do szkoły ze skrwawionemi rękami, sińcami na całem ciele, nosiła hańbiące tablice na szyji — ale nie ugięła się, mimo, że nie uzyskiwała promocyj do klas wyższych, mimo, że zatrzymywano ją ponad przepisowy wiek w szkole. Cały ten heroiczny i bezbrzeżnie smutny okres wierności dziecka polskiego swemu językowi i pacierzowi odżywa niezwykle plastycznie w książce dr. Jabczyńskiego. I byłyby dzieci przetrzymały jeszcze gorsze chwile, jeszcze brutalniejsze traktowanie — gdyby się rząd pruski nie był uciekł do ostatecznego środka. Sądy opiekuńcze groziły odebraniem dzieci tym rodzicom, którzy dzieci swe podtrzymują w strajku. Jacy rodzice byliby się zgodzili na wydanie dzieci swych na pewne wynarodowienie, na męki bez końca? Ugięli się. Strajk zaczynał upadać. Zaprzestano go manifestacyjnie. Rodzice, zezwalając dzieciom na korzystanie z religji w jęz. niemieckim, zaznaczali z całym naciskiem, że zezwolenia swe dają przymuszeni terorrem, i pod wpływem moralnego przymusu.

Tak więc zakończył się jeden z najtragiczniejszych etapów tej długotrwałej walki o polskość ziem zachodnich. Dr. Jabczyński przedstawił dzieje te zajmująco i dość dokładnie, opierając się na obfitych, dostępnych mu materjałach, których sporą część znajdujemy w reprodukcji jako dodatek do książki (157 stronic rozporządzeń Regencji pruskiej, okólników kuratorjum, inspektorów szkolnych, świadectw świadków strajku, wyjątków protokułów posiedzeń kuratorjum i Regencji, stenogramów *Reichstag*'u i *Landtag*'u, petycyj i t. p.).

Szkoda, że autor nie uwzględnił jeszcze szerzej sprawy wrzesińskiej i procesu gnieźnieńskiego oraz toruńskiego, poświęcając i tym sprawom obszerne, dokładne i wyczerpujące rozdziały, o co, zdaje się, nietrudno było przy tym materjale, jakim autor rozporządzał. Historjografja dziejów polskich w b. zab. pruskim byłaby się opracowaniem tych wydarzeń ogromnie wzbogaciła. — Mimo tego zastrzeżenia uważamy pracę dr. Jabczyńskiego za b. pożyteczną i ciekawą, wypełnia ona znów poważną lukę i zachęci do opracowania dalszych dziejów walki o polskość ziem zachodnich.

O innej ciekawej książce, obejmującej odrodzenie narodowe Górnego Śląska, pióra dr. Adama Benisza, napiszemy innym razem. Stanowi ona pierwsze syntetyczne, choć niedokładne jeszcze i nie wyczerpujące opracowanie walki o polskość Górnego Śląska.

Lubliniec, G. Śl. A. JESIONOWSKI

[1]) Dr. M Jabczyński: Walka dziatwy polskiej ze szkołą pruską. (Poznań, 1930). Nakł. Wydawnictw Szkolnych.

ZARYS FILOZOFJI TOMISTYCZNEJ

PRAWDZIWĄ zasługę położyła księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu, ogłaszając polski przekład (dokonany przez dr. M. Koperską) dzieła zbiorowego p. t. „Wtajemniczenie w Filozofję Świętego Tomasza z Akwinu“. (Poznań, 1930, str. 356). Księga ta, zredagowana i poprzedzona wstępem przez o. E Peillaube, rozpada się na szereg działów, opracowanych przez grono autorek, byłych słuchaczek wydziału filozoficznego Instytutu Katolickiego w Paryżu, dzisiaj, przeważnie, profesorek, posiadających stopnie naukowe z filozofji. Na całość składają się: Wstęp (o. E. Peillaube), Ontologja (N. M. Denis-Boulet), Kosmologja (G. C. Capelle), Psychologja (S. Leuret, E. de Beaucoudrey, M. Esnée), Teodycea (N. M. Denis-Boulet), Logika (S. Moreau-Rendu), Etyka (W. Reyre), Zasadnicze wiadomości z estetyki (M. Clement).

Dla pełności obrazu brak jest rozdziału, któryby omawiał poglądy św. Tomasza na państwo, społeczeństwo jak również zagadnienie stosunku jednostki do zbiorowości. Myśl filozoficzna św. Tomasza jest i w tym zakresie niezmiernie cenna i ciekawa, łączy się zresztą nierozerwalnie, w sposób organiczny, z całokształtem jego zasad i poglądów. Szkoda też niezaprzeczenie, że autorowie „Wtajemniczenia" zgoła nie wzięli pod uwagę słynnego dzieła „*De regimine principum*", które, niezależnie od tego, czy w całości napisane zostało przez św. Tomasza (jak twierdzą Franck, Fr. Pollock i inni, autentyczność przynajmniej pierwszych dwóch ksiąg zdaje się nie ulegać wątpliwości), czy też może pod jego wpływem tylko ułożone zostało przez któregokolwiek z jego uczniów, stanowi przecież wierne zwieciadło jego poglądów i z całością ich wyraźnie zupełnie jest powiązane.

Niektóre z działów opracowane zostały bardzo starannie (np. Teodycea), inne, zwłaszcza „Zasadnicze wiadomości z estetyki", pobieżniej i bez dostatecznego pogłębienia przedmiotu. Zadaniem „Wtajemniczenia" było streszczenie najważniejszych poglądów filozoficznych św. Tomasza z Akwinu, tudzież przedstawienie ich czytelnikowi w formie dostępniejszej i łatwiejszej do zrozumienia dla dzisiejszych sfer inteligenckich. Zadanie to powiodło się w znacznym stopniu, aczkolwiek niejednokrotnie nie ustrzeżono się mniejszych lub większych niejasności, a także niepotrzebnej zawisłości stylu. O ileż doskonalej wywiązał się był z podobnego zadania X. Kazimierz Lutosławski, w swem znakomitem, niestety, częściowo tylko wykonanem dziele: „Teologja, wykład dla wykształconego ogółu" (ogłoszono jedynie tom I: „Bóg jako przyczyna", oraz tom III: „Dążenie stworzenia rozumnego do Boga. Rozbiór szczegółowy. O cnotach teologicznych"). Praca jego jest w swoim rodzaju arcydziełem.

Niemniej „Wtajemniczenie" jest książką bardzo pożyteczną i życzyć by należało, ażeby wśród dzisiejszej inteligencji polskiej znalazło jaknajliczniejszy zastęp czytelników. Dzieło to pozwala rzucić okiem na przedziwną głębię i piękno systematu filozoficznego św. Tomasza, dającego „ścisłe, pełne, logiczne, ustalone w najdrobniejszych szczegółach ujęcie filozofji chrześcijańskiej". Pozwala odetchnąć jej słoneczną, krzepiącą, uzdrawiającą atmosferą. Słusznie pisał filozof niemiecki, Rudolf Eucken, zestawiając dwa najpotężniejsze umysły filozoficzne ostatniego tysiąclecia: „Walka między Tomaszem z Akwinu a Kantem — to walka dwóch światów, katolicyzmu i protestantyzmu". Dla Polski, narodu, który cywilizację swoją od lat tysiąca budował na fundamencie zasad katolickich, stokroć bliższy i zrozumialszy musi być święty Tomasz.

J. R.

RUCH WYDAWNICZY

Uzupełnieniem pięknej książki prof. I. Chrzanowskiego „Czem był Wergiljusz dla Polaków po upadku niepodległości" (wydanej niedawno po raz trzeci) jest broszurka prof. S. Pigonia p. t. „Wergiljusz u kolebki polskiej poezji mesjanistycznej" (Wilno 1930). Autor zajął się t. zw. „Proroctwem księdza Marka" — znanym powszechnie utworem, zamieszczonym w zbiorach poezji barskiej, ale także drukowanym osobno już w ciągu XVIII wieku; Zbadawszy tekst i charakter przedruku, znajdującego się w Biblj. Zamojskich, doszedł do przekonania, iż utwór ten wyprzedza konfederację barską i odnosi się do bezkrólewia po śmierci Augusta III, a wyszedł zapewne z kuźni stronnictwa „hetmańskiego". Obaliwszy w ten sposób rzekome autorstwo księdza Marka, prof. Pigoń zwraca uwagę na to, że ton proroczy zdarzał się w poezji polskiej na wiele lat przed konfederacją barską, szczególnie „Wykład Bogiń słowiańskich" Paszkowskiego (1608) ma wiele podobieństwa z omawianym tu utworem. Nic dziwnego, bo oba mają podkład wspólny—jest nim słynna Ekloga IV Wergiljusza (poczęści zaś XVI Epoda Horacego), z której obaj rymopisarze polscy przejmowali całe motywy lub nawet zwroty. Nie byli oni w tem odosobnieni, czynił to współcześnie z Paszkowskim Kasper Miaskowski w „Rotułach na Narodzenie Syna Bożego" („Poljo Polski"), a nawet niektórzy bezimienni autorowie kolęd. Pozatem „Wieszczba z r. 1763" zwana niesłusznie „Proroctwem Księdza Marka", jeszcze z jednego względu zasługuje na uwagę: oto pierwsza „przystraja misję Polski w akcesorja Chrystusowe", jest więc poprzedniczką „Ksiąg Narodu Polskiego" i „Przedświtu". Warto nadmienić, że „Wieszczbę" znał ojciec mesjanizmu polskiego, zapalony wergiljanista Woronicz. (J. B.)

*

Studjum prof. Jana Sas Zubrzyckiego „Dwa zamki polskie w Malborku", wydane zostało we Lwowie, dla uczczenia dziesiątej rocznicy odzyskania przez Polskę części Pomorza. Okładkę książki zdobi staropolski herb województwa malborskiego, a tekst 40 rysunków tych architektonicznych zabytków. Zamki malborskie budowano jako zamki obronne jeszcze przed przybyciem Krzyżaków na Pomorze, a pierwotna ich, wywiedziona przez prof. Zubrzyckiego, architektura jest typową dla gotyku pomorskiego i wogóle sztuki nadwiślańskiej. Podobnie jak nazwa miejscowości Malborg jest staropolską, przez Niemców przeinaczoną, tak i wioski i rzeki w ziemi warmińskiej i mazurskiej miały nazwy rdzenne polskie, dziś zmienione.

Autor od wielu lat pracuje nad uwydatnieniem stylu polskiego, narodowego, w rękodzielnictwie, architekturze i sztuce. Studja Zubrzyckiego z zakresu ciesielstwa, murarstwa, kowalstwa i malarstwa, a najwięcej z dawnego budownictwa, dobyły na jaw i ukazały wiele cennych, a przez późniejsze czasy zapomnianych wartości. Entuzjastyczny miłośnik polskiego średniowiecza odtworzył w słowie i rysunkach zachowane, a też i rozpadające się w gruzy lub zniekształcone ze względów praktycznych, zabytki budowlane starożytnych kościołów, zamków i pałaców. W literaturze naukowej przyjęły się ustalone przez Zubrzyckiego terminy i krzewione przez niego idee, których książka „Dwa zamki w Malborku" jest wyrazem nowym i pięknym. (A. W.)

*

W opracowaniu p. Wacława Borowego, nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, wydana została Antologja Liryki Polskiej z podtytułem „Od Kochanowskiego do Staffa". Nie trzeba nadmieniać, jak dla rozwoju kultury narodowej pożyteczne być może przypomnienie wartościowych utworów poetyckich od szesnastego stulecia aż po utwory spółczesnej doby. Wiele z nich przetrwało próbę czasu, jednak gwar spółczesności przygłuszył ich echa. Takie więc, w chronologicznym porządku, ogłoszenie utworów tych na nowo stają się żywem świadectwem ich istnienia pod kątem wieczności. Natomiast starannie dobrany przegląd nazwisk i utworów został zepsuty wymienionym wyżej, pod nagłówkiem książki, podtytułem. Razi brakiem poczucia proporcji i dystansu. Twórczość Kochanowskiego reprezentuje pod względem kulturalnym, narodowym, politycznym obyczajowym i religijnym całą złotą epokę naszego renesansu, i zestawienie po przez przedział wieków nazwiska Kochanowskiego z nazwiskiem Staffa, wysoce utalentowanego liryka, nie przysporzy Staffowi laurów. Tak to, jak i zamieszczenie w Antologji 14 stron wierszy Staffa, a ledwo 2 stron Tetmajera. Zapewne p. Wacław Borowy zdawał sobie sprawę z wady podtytułu, bo w przedmowie do Antologji tłumaczy ją „okolicznościami", nie dodając przytem, jakie to okoliczności były. (A. W.)

*

Ukazał się Nr. 2 (za luty) popularnego miesięcznika, poświęconego propagandzie książek, p. n. „Kurjer Księgarski dla wszystkich". Aby utrzymać się na powierzchni życia kulturalnego, konieczna jest orjentacja w sprawach przynajmniej wybitniejszych nowości wydawniczych. Dobrym kompasem śród odmętu nowych książek jest „Kurjer Księgarski" organ Domu Książki Polskiej, redagowany przez E. W. Szelążka. Ostatni numer zaczyna się od artykułu „O polską ustawę bibljoteczną". Ponadto na treść omawianego zeszytu składają się działy redakcyjne, zawierające wiele zwięźle ujętego materjału: nowości, które trzeba przeczytać; przegląd głosów prasy: ze świata książki. Bibljografia jest, jak zwykle, bogato reprezentowana. Poza bibjografją nowości, zeszyt omawiany zawiera bibljografję techniki, rozbitą na rzeczowe działy.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Maurycy Bedel dał nam już dowód w swoim „*Jerôme*", który kilka lat temu otrzymał nagrodę Goncourt'ów, iż lubi parodję, a nie brak mu złośliwości. Cały świat szwedzko-norwesko-duńskich kobiet podzielił się wówczas na dwa obozy, protestując, lub też przyklaskując obrazom obyczajowym, przedstawionym przez niego w jaskrawy i dowcipny sposób. Wątpliwe jest natomiast, by jego ostatnia powieść „*Philippine*" („*Nouvelle Revue Française*") wywołała jakikolwiek entuzjazm Rzymian; pewne natomiast jest, że nie przyczyni się do zacieśnienia węzłów, chociażby intelektualnych, po-

między dwoma sąsiedniemi narodami. Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że Maurycy Bedel jest doskonałym humorystą, o niezawodnym dowcipie, który jednak zdradza jego przekonania lewicowe. I tak niejaki p. Grenadier, który dawniej sprzedawał owoce i sery, a potem stał na czele miesięcznika, propagującego idee silnej władzy i autorytetu, udaje się do Włoch, by bliżej poznać kraj i przesiąknąć teorjami Mussoliniego. Towarzyszy mu w tej podróży jego córka Philippine. Kiedy zaś przekroczą granicę półwyspu Apenińskiego, rozpocznie się dla nich epopeja faszyzmu w zrozumieniu p. Bedela. A więc kontrola paszportów, mająca w sobie coś z inkwizycji na odległość, która jednak nie zraża p. Grenadier, ani to, że jest szpiegowany, kilkakrotnie aresztowany, a wreszcie wydalony z Włoch. Pomimo jednak tego ogłasza on we Francji manifest, oświadczając, iż jest gorącym zwolennikiem zasady autorytetu... W tymże czasie i Philippine miała również przygody, ale te kończą się aljansem francusko-włoskiem. Poślubia ona bowiem młodego Raffaela Carbinati, który kilkakrotnie groził zabiciem się z miłości dla niej, ale tego nie dokonał, bo w inny sposób dopiął swego celu, Czy odniesie go książka p. Bedela, to inna sprawa. Mussolini nie lubi bowiem nawet powieściopisarskiego krytycyzmu. (I. B.)

*

„*Le Corset noir*“ (Albin Michel édit.) nie jest pierwszą powieścią p. Alain Laubreaux. Krytyka literacka już miała poprzednio zwrócone nań oczy, zwłaszcza od czasu, kiedy autor ten opublikował „*Yan le Métis*“. W ostatniej książce swej Laubreaux przedstawia nieugiętość przekonań starego i zarozumiałego ojca, niezdolnego z nich abdykować nawet wobec dramatu, jakiego ofiarą padnie jego córka, Andrée. Wydana za mąż za adwokata, którego w czasie wojny pielęgnowała, młoda kobieta jest po ślubie szybko przez swego męża opuszczona i zrujnowana. Chroni się do rodzinnego domu. Wówczas zaś nawiązuje się pomiędzy Andrée a Pierre Ferrand, towarzyszem zabaw jej lat dziecinnych, nić dawno przerwana. Ten bowiem ostatni, jakkolwiek bawi w Argentynie, ale po otrzymaniu listu od Andrée udaje się do Francji i wyznaje jej swą dawną, a wierną miłość. Zostanie ona skazana na ciężkie próby. Rodzina Andrée nie chce słyszeć o jej rozwodzie. Ta zaś w rozpaczy staje się kochanką Pierre'a. Niewzruszony zaś ojciec na wiadomość, że ma zostać matką, oddaje swą córkę w niegodne ręce. Andrée umiera, a Pierre powraca do Francji w chwili, kiedy poprzez miasto przechodzi kondukt pogrzebowy ukochanej przez niego kobiety. Powieść ta, może bez głębszych komplikacyj psychologicznych, odtwarza niemniej dosyć wiernie prowincjonalne nastroje, jakkolwiek autor za bardzo zdaje się lubować w sytuacjach nieco arbitralnych. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWY
ST. ZALEWSKIEGO I M. ŁUNKIEWICZOWEJ

Stanisław Zalewski (ur. w roku 1896) studjował u Lentza w dawnej Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, później w Krakowie u Jacka Malczewskiego. Po raz pierwszy wystawia w naszej Zachęcie z grupą „Formistów“ (rok 1926), potem już rozmaicie. Jest członkiem grupy „*Praesens*“ od chwili jej założenia, to znaczy od 1925 roku.

Interesujące te bezwątpienia personalja znajdujemy w przedmowie do katalogu prac, obecnie wystawionych (w salonie Cz. Garlińskiego), natomiast o pani Łunkiewiczowej — nic (w jej katalogu); widocznie krytyk wyszedł z popularnego założenia, że kobieta jest zagadką.

Pani Łunkiewiczowa „modernizuje“ z zapałem. Niewątpliwa szczerość, z jaką przejmuje się rozmaitemi „izmami“, nie świadczy o krytycznem przetrawianiu wchłanianych wartości, jest jednak w jej pracach rysem sympatycznym. Młodzieńczy entuzjazm, z jakim pani Łunkiewiczowa kroczy w pewnym kierunku, milszy nam się wydaje, niż sam kierunek drogi. „Kubizm, abstrakcjonizm, puryzm“ — zwierza się artystka — „są nową akademją formy, tak jak dawniej akademję stanowiło nauczanie na wzorach rzeźb Grecji“. Czas pokaże, czy wybór nauczyciela był trafny. Tymczasem na wystawie pani Ł. mamy do czynienia z szeregiem obrazów bardzo różnorodnych pod względem wartości i sposobów ujęcia. Niektóre z nich pojmują nowoczesność w sposób zgoła naiwny.

Daleko bardziej dojrzałe jest malarstwo Zalewskiego. Dojrzałe i męskie. Choć przynależność jego do grupy tak zwanej awangardy artystycznej wydaje się zupełnie wyraźna (nie mam oczywista na myśli uczestnictwa formalnego), artysta nie chce powtarzać pacierza „za panią matką“. Stanowisko Zalewskiego w stosunku do prądów, z któremi sympatyzuje, da się wyrazić w ten sposób: biorę to, co mi się podoba, a nie to, czem mię częstują. Rasowy temperament malarza ocalił go przed scholastyką abstrakcjonizmu. W swoich martwych naturach, aby nie być już tak całkiem „niebłagonadiożnym“, przypomina sobie miejscami wzorki obowiązujące, kompozycje z kwadratów, prostokątów, malowane równo, sztywno, nudno, lizane pędzelkiem na ceratę. Ale za chwilę dość ma tego, nudzi go ta czcza mózgowość, bokiem mu wyłazi. Niszczy kontury „pod linję“, wyszarpuje, gmatwa obrzeża barwnych plam, wypełnia płaszczyznę farbą, mastką, smacznie, po malarsku. A w pejzażach na amen zapomina, że kiedykolwiek był w „*Praesens*'ie“ i hulaj dusza!

Jedną z bezspornych natomiast korzyści, jakie Zalewski z obcowania z „*Praesens*'em“ mógł wynieść, jest duża subordynacja kompozycyjna, dla niektórych członków grupy stanowiąca cel sam w sobie, tutaj ustosunkowana właściwie do innych zagadnień malaskich. Niepoślednie miejsce wśród nich zajmuje harmonja barwna obrazu, dzięki nieomylnemu instynktowi kolorystycznemu artysty.

Oto z czem staje przed nami Zalewski. A teraz rzecz najważniejsza. W przedmowie do katalogu czytamy: „działalność twórcza artysty wnosi do sztuki polskiej“... i t. d. Są to słowa conajmniej lekkomyślne. Z tego, że ktoś mieszka w Polsce, jest Polakiem i obywatelem polskim, nie wynika jeszcze automatycznie, aby malując (nawet dobrze) miał tak zaraz wnosić coś do naszej sztuki. Pan Zalewski nie naśladuje niewolniczo nikogo z malarzy obcych. Lecz w malarstwie jego zanadto są jeszcze widoczne reminiscencje Paryża, od Renoir' a do Utrilla i Braque'a (zwłaszcza w niektórych „martwych naturach“). Niektórzy uważają, że to nic nie szkodzi, że to nawet dobrze. Ale nam się marzy sztuka inna, nie „papugi narodów“. Trudno, tacy już jesteśmy... (W. P.)

NOWE KSIĄŻKI

Ossendowski Antoni F. Gasnące ognie. Podróż po Palestynie, Syrji, Mezopotamji. Poznań 1931. Wyd. Pol. R. Wegner. Str. 364 (60 ilustr.).

Popławski Wład. Tancerka. Z przedmową F. A. Ossendowskiego. Poznań. Wyd. Pol. R. Wegner.

Bandrowski Jerzy. W małem miasteczku. Powieść. Poznań. Wyd. Pol R. Wegner.

Burdecki Feliks. Babel. Powieść. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej.

Nittman Tadeusz M. Cień porucznika Guardo. Powieść. Warsz. 1931. Tow. Wyd. „Polska Zjednoczona“.

Jellenta Cezary. Wizja Madonny. (Nowela) Warsz. 1931. Tow. Wyd. „Rapsod“.

Świeżawski. Śmiech w zieleni (Poezje). Kraków (1931).

Hulewicz Witold. Miasto pod chmurami. Wilno 1931. L. Chomiński. (Poezje). Z 14 rycinami.

Wesołowski Stan. ks. Skarbiec chorych. Nauki na niedziele i święta. Warszawa. „Kronika Rodzinna“.

Surzycki Stefan dr. prof. Un. Organizacja pracy społecznej rolniczej. Warsz. 1931. Wyd. Spół. Inst. Nauk. Str. XII i 386.

Strasburger Edward. Nauka skarbowości. Część ogólna. I. Warsz. 1924. Geb. i W. (Sprzedaje St. Bogatkiewicz. Warsz., Żórawia 16 m. 7). Str. 265 i IV

Walka z bolszewizmem. Wszechstronny informator antykomunistyczny. Warsz. 1930. Rocznik IV (1930) Red. H. Glass. Warsz. Widok 5 m. 1.

Pigoń Stan. Wergiljusz u kolebki polskiej poezji mesjanicznej. O t. zw. proroctwie ks. Marka. Wilno 1930. Str. 26.

Halban Leon. Eucharystja źródłem pełni życia jednostki. Lwów 1930. Tow. im. Skargi. Str. 16.

Brensztejn Michał. Adam Honory Kirkor. Wydawca, redaktor i właściciel drukarni w Wilnie, 1834 — 1867. Wilno 1930. Księg. św. Wojciecha. Str. 92.

Głąbiński Stan. Odkąd Polska jest państwem niepodległem? Warsz. 1931. Str. 38. Odbitka z „Myśli Nar.“

Bujalski Miecz. Związek im. Jana Kilińskiego (Nar. młodzież robotn.), 1901 — 1905. Warsz. 1930. Str. 33.

Suligowski Adolf dr. prof. Józef Szeliga Bieliński Jego działalność i jego prace. Warsz. 1931. M. Arct. str. 24.

Weryho Marja. Nacia na pensji. Opowiadania. Z ilustracjami W. Romeykówny. Warsz. Geb. i Wolff.

Góralczyk (Anczyc Wł.). Dzieje Polski w 24 obrazkach. Wydanie nowe. Warsz. Gebethner i Wolff.

Chłędowski Kazimierz. Rzym. Ludzie baroku. Lwów 1931. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 641.

OFENSYWA

„PRZEWRAŻLIWIENIE"??

PAN sędzia Piłsudski Jan w dwóch mowach, wygłoszonych na plenum sejmowem i na jednej z Komisyj, dwukrotnie poruszył tę sprawę, która nazwę małego miasteczka nad Bugiem „rozsławiła" na całym globie.

W jednej mowie p. sędzia Piłsudski mówił:

„Jesteśmy przewrażliwieni wobec wszystkiego, co pochodzi od władzy i wobec wszystkiego, co dotyka obywatela. Brześć jest najlepszym tego przykładem".

W drugiej zaś mowie, w polemice z posłem Niedziałkowskim, wyraził się w ten sposób:

„Niech p. Niedziałkowski roześle to swoje oświadczenie w sprawie brzeskiej zagranicę i niech posłucha, jakie są systemy w więzieniach w Anglji, Francji i Niemczech. Niech zobaczy czy wolno tam siąść na łóżku w ciągu dnia, choćby to był więzień nie kryminalny".

Zdaje się, że poseł Niedziałkowski tego oświadczenia swego nie rozesłał. I dobrze zrobił. „Zagranica" już dokładnie zna tę sprawę, gdyż Polska nie jest Atlantydą, ani też krajem okrytym żelaznym kloszem i do r. 1930 należała do Europy i pozostawała z nią w stałym kontakcie. Prezes Sądu Najwyższego p. Supiński w dość mocnych słowach wyraził też swój pogląd na tę sprawę. Brześć nie jest stanowczo „najlepszym przykładem" p r z e w r a ż l i w i e n i a naszego wobec wszystkiego, co pochodzi od władzy.

Przewrażliwienie! Czy tu można mówić o przewrażliwieniu? Czy wobec całego szeregu poprzednich zdarzeń i faktów manifestowało się jakieś przewrażliwienie? Czy godzi się wobec tego opóźnionego przebudzenia się i gwałtownej reakcji sumienia polskiego używać ironicznego określenia „przewrażliwienie"? Czy godziwe są wogóle w polemikach z protestującymi takie różne określenia, jak „psychoza protestacyjna", „zbiorowa suggestja", „przesądy zdegenerowanego humanitaryzmu", „szczęśliwe wyzbycie się liberalnego humanitaryzmu", „harmider koło sprawy brzeskiej" i t. p. określenia, któremi dziś już szafuje pewna część prasy?

Pan sędzia Piłsudski pierwszy może swem określeniem „przewrażliwieni" podżegnął tupet początkowo przepłoszonych czynników. Aż wreszcie doszło i do tego, że pono w Sejmie rozlegał się „chichot", sataniczny chyba chichot, gdy wywlekano szczegóły i zapiski z „Martwego Domu". Przewrażliwienie? Skądże przewrażliwienie? Oczywiście, gdybyśmy na nasze Brzeście zapatrywali się z rosyjskiego punktu widzenia, to to byłaby miniatura, coś bardzo drobnego wobec dawnych Schliesselburgów i Sybirów. Dla rosyjskiej mentalności to musi się wydać: przewrażliwieniem. Nie wiele tych ofiar było, tak „mało bili", więc cóż z tego zaraz robić taki „harmider" i poco ta lawina protestów, suggestja, psychoza? Ale trzeba już raz się z tem oswoić, że my należymy do Europy, do cywilizacji śródziemnomorskiej, nie do Eurazji, gdzie jest 150 miljonów mieszkańców i gdzie nawet rozstrzelanie „pod stienku" tysiąca jest tylko fragmentem. Koniecznie raz trzeba się z tem oswoić, że ta Polska to nie duchowe *dependence* Eurazji. Trzeba się oswoić z naszemi wymiarami i obyczajami. Tu w Europie już jeden „czeławiek" jest jednostką, liczy się. Zatem to nie jest „przewrażliwienie", jeżeli się protestuje przeciw kaźni np. byłego dwukrotnego prezesa ministrów.

Pan sędzia Piłsudski w mowie swej radził p. Niedziałkowskiemu, aby „posłuchał" (*sic*), jakie są systemy w więzieniach w Anglji, Francji i Niemczech. Otóż radzilibyśmy, aby p. sędzia Piłsudski nietylko „posłuchał", ale pozwiedzał te więzienia, poznał je *ex autopsia*, a potem dopiero o nich zaopinjował. Mija się bowiem z prawdą, jakoby kryminalny nawet, nie to dopiero więzień nie kryminalny, w ciągu dnia nie mógł, t. j. miał „zakazane siadać na łóżku". A tymczasem taka plotka o więziennictwie zachodnio - europejskiem, wypowiedziana przez osobę miarodajną, przez sędziego, jurystę, prawnika, w kołach pewnych może wywierać pewne wrażenie. Pod taką suggestją jakaś rozwścieklona wiedźma zaczęła się jawnie domagać chłosty na więźniów politycznych. Pod taką suggestją już rozuchwalony organ t. zw. „Bebesynów" zamieścił notatkę o wznowieniu kar cielesnych („batożenia") w niektórych więzieniach amerykańskich, pod tytułem:

„Traktowanie więźniów w największej demokratycznej republice świata".

„Niektórym naszym profesorom i innym do sztambucha"...

Ironiczny ton tej zachęcającej do wprowadzenia chłosty „batogami" notatki genetycznie wywodzi się od tego określenia: „przewrażliwieni". Taki pan moralny z brudnej ścierki gadzinowej nie odważyłby się na taką zachętę, gdyby nie czytał lub nie słyszał przedtem mowy p. sędziego, cieszącego się w tamtych kołach dużym szacunkiem. Tymczasem tak i w Ameryce nie jest. Sędzia Piłsudski widocznie krótko bywał w Europie Zachodniej, a kannibale z „Przedświtu" złe przykłady cytują i dobierają np. ze Stanów Zjednoczonych. Damy tym ludziom przykład całkiem inny.

Oto notatka jaka w z e s z ł y m r o k u przeszła omal całą prasę polską:

„W Ameryce powstało więzienie bez żadnych ograniczeń wolności uwięzionych, z którego po 20 latach istnienia umknęło zaledwie 8 więźniów. Sukces to niebywały, wykazujący, że i zbrodniczość, jak każdą chorobę umysłową, można leczyć odpowiedniemi sposobami i środkami, a sztuka polega na tem, aby umieć uderzyć w odpowiednie klawisze psychiki. Twórcą tego więzienia jest idealista i zarazem człowiek czynu, mjr. William I. Hanna. Urzeczywistnienie tego, jak się zdawało, niewykonalnego zamiaru napotykało początkowo na wiele trudności, wynikłych ze sceptyzmy czynników miarodajnych. Wreszcie po długich dyskusjach i zawziętych walkach, mjr. Wiliam Hanna zakupił obszary nieużytków w okolicy Toronto i po mozolnych trudach i zabiegach udało mu się uzyskać od rządu pozwolenie na osiedlenie tam najpierw 40, a potem 120 więźniów z zakładów karnych w Toronto. Przy pomocy tych wykolejeńców wykarczował lasy i założył t. zw. „Guelph-Farm". Praca jego dała zdumiewające wyniki. Prerja kanadyjska, zamieniła się w urodzajne, wzorowo uprawne pola i olbrzymie sady, pełne uginających się pod ciężarem owoców drzew. Opodal widać wieże naftowe, koło których uwijają się robotnicy, ożywieni ideą pracy i poruczonemi im obowiązkami. Cudowna ta przemiana była owocem wytrwałej pracy skazańców, byłych złodziei, oszustów a nawet morderców. Jak dobrze pod względem moralnym i fizycznym czuli się więźniowie na farmie mr. Hanny, świadczy fakt, że w ciągu 20 lat jej istnienia uciekło zaledwie 8 miu skazańców. A trzeba zważyć, że to najoryginalniejsze z więzień nie posiada ani straży, ani zamków, ani żadnych zabezpieczeń, ograniczających wolność osobistą. Więźniowie ubrani są w zwyczajne stroje robotnicze, nie noszą ubioru więziennego, który piętnuje zbrodniarza i poniża jego godność osobistą, ani też nie goli się im głów, co zazwyczaj cechuje więźniów i stanowi szyderczą koronę przestępcy.

Mr. Hanna może być dumny z wyników swej pracy i realizacji swego, jak się zdawało, fantastycznego projektu. Z parjasów uczynił ludzi prawych, pożytecznych, a wszystko to zdziałało dobre serce, kierujące się szczerem umiłowaniem ludzkości".

Jak widzimy z Ameryki można brać i takie przykłady i inne, z czego zresztą znowu nie wynika, ażebyśmy wogóle koniecznie musieli czy te czy inne ślepo naśladować.

W każdym jednak razie nie bierzmy przykładów nigdy ze Wschodu i nie dajmy się zbyt rozpanoszyć u nas w centralnej Polsce mentalności eurazyjskiej, czy bowiem jako czerwoni czy jako czarni, czy jak reakcjonerzy czy jako rewolucjonerzy są nie do strawienia, jako że zawsze maksymaliści, zawsze zbyt szerokie natury. Dla nich bicie po „mordach" czy zamykanie „administracyjnym pariadkom", czy knutowanie choćby więźniów, no to w danej konjunkturze „bagatel". „Harmider" o to wszczęty przez „gramotnych" profesorów, „zapadników" to hyperestenja...

Obudziłoby się dopiero w nich sumienie i „liberalniczać" by zaczęli dopiero ot, gdyby tak z tysiąc profesorów protestowiczów postawiono „pod stienku".

Bowiem myślowo i nałogami mentalnemi jeszcze wdrożeni i przyzwyczajeni są do wielkich cyfr i wielkich dymensyj... I stąd to pozorne ich znieczulenie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Początkowo — w publicystyce opozycyjnej — zestawiano nazwiska posła ks. Janusza Radziwiłła i posła Sanojcy tylko dla przeciwstawienia: dziwiono się, że przedstawiciele sfer tak odmiennych mogli znaleźć się, pomimo wszystko, w jednym klubie sejmowym.

Obecnie nazwiska te wymieniane są naprzemian, jedno zamiast drugiego: okazało się, po bliższem zbadaniu, iż oba reprezentują równie wyraziście jeden i ten sam typ kultury, jeden i ten sam gatunek moralny człowieka...

*

Ze sztambucha sanacyjnego prawnika:

„Jakże silnym, niezłomnym muszę być człowiekiem, skoro zdołam wytrwać do końca na stanowisku i nie zmoże mnie... uczucie wstydu"!

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.